

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. dr. Witolda Bełzy w Bydgoszczy

**„NA CHWAŁĘ SŁOŃCA”
V OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. WANDY DOBACZEWSKIEJ
NAGRODZONE PRACE**

BYDGOSZCZ 2025

Jury konkursu w składzie: Helena Dobaczewska-Skonieczka, Małgorzata Grajewska, Alina Rzepecka wyłoniło laureatów.

Kategoria wiekowa „A” dorośli – POEZJA

I miejsce: Aneta Jasłowska – godło: Helianthus

II miejsce: Mirosław Gabryś – godło: OUMUAMUA

II miejsce: Barbara Kosieradzka – godło: MYOSOTIS

Wyróżnienie: Jerzy Fryckowski – godło: Chmura

Wyróżnienie: Milena Gojny – Zbierowska – godło: Solipsyzm

Ponadto w tej kategorii wyodrębniono prace następujących laureatów, które zostały zauważone przez Jury i uhonorowane będą upominkami książkowymi i publikacją prac w Almanachu pokonkursowym, który zamieszczony zostanie na stronie internetowej Biblioteki:

Anna Fojtel – godło: Vaiva 2025

Emilia Marniok – godło: EM

Jakub Grabiak – godło: Piwnica

Kategoria wiekowa „A” dorośli – PROZA

I miejsce: Paweł Wichowski – godło: Forteskiusz

I miejsce: Sławomir Dawidowski – godło: Shav

II miejsce: Jarosław Rumianowski – godło: Rumian

Wyróżnienie: Magdalena Laszczka – godło: Bez

Wyróżnienie: – Karolina Krueger – godło: Rudzik

Ponadto w tej kategorii wyodrębniono prace następujących laureatów, które zostały zauważone przez Jury i uhonorowane będą upominkami książkowymi i publikacją prac w Almanachu pokonkursowym, który zamieszczony zostanie na stronie internetowej Biblioteki:

Katarzyna Gargol – godło: Piegus

Rafał Mielczarek – godło: Zaklinacz

Jolanta Kiniorska – godło: Fiołek

Aleksandra Paprota – godło: Kienko

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-17 lat] – POEZJA

I miejsce: Kalina Skotnicka – godło: Kanarek

II miejsce: Martyna Wybraniec – godło: Ignis

III miejsce: Grzegorz Sobkiewicz – godło: Grechut

Wyróżnienie: Maja Grab – godło: Ważka

Wyróżnienie: Antoni Szaferafin – godło: Fiin

Ponadto w tej kategorii wyodrębniono prace następujących laureatów, które zostały zauważone przez Jury i uhonorowane będą upominkami książkowymi i publikacją prac w Almanachu pokonkursowym, który zamieszczony zostanie na stronie internetowej Biblioteki:

Kinga Kusztal – godło: Mewa

Kamila Zembroń – godło: Caacrinolas

Noemi Borysiuk – godło: Sarenka 001

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-17 lat] – PROZA

I miejsce: Martyna Przodzik – godło: Królik

II miejsce: Julia Kocot – godło: Magiczna Wyspa

III miejsce: Maja Nabiałczyk – godło: Pszczółka

Wyróżnienie: Oliwia Kostrzewińska – godło: Luna

Wyróżnienie: Emilia Ciesielska – godło: Skowronek

Ponadto w tej kategorii wyodrębniono prace następujących laureatów, które zostały zauważone przez Jury i uhonorowane będą upominkami książkowymi i publikacją prac w Almanachu pokonkursowym, który zamieszczony zostanie na stronie internetowej Biblioteki:

Wiktoria Hara – godło: Zaginiona tożsamość

Konrad Woliński – godło: Konwol

Wiktor Sterczewski – godło: Mroczny pomidor

I miejsce: Aneta Jasłowska

Pod huculskim lyżnikiem (*pantum*)

Usiądź na skraju myśli tam, gdzie się serca nam palą,
otul marzenia skryte huculskim „lyżnikiem” ciszy,
poczuj stare korzenie, choć niedzisiejszy jest dialog,
gleba zimna od bólu, a czas nad losem wciąż wisi.

Otul marzenia skryte huculskim „lyżnikiem” ciszy,
rozgość się w kropli rosy, na chwałę słońca, na potem,
gleba zimna od bólu, a czas nad losem wciąż wisi,
zanim studzienka jutra okryje dni zimnym złotem.

Rozgość się w kropli rosy, na chwałę słońca, na potem,
poczuj stare korzenie, choć niedzisiejszy jest dialog,
zanim studzienka jutra okryje dni zimnym złotem,
usiądź na skraju myśli tam, gdzie się serca nam palą.

MOTTO:

*„Przemijają lata chwile
W wieczność pędzi czasu fala!
Co dzień jutro się przybliża
Co dzień wczoraj się oddala (...)
Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska*

W drewnianym piórniku (*strofa saficka*)

Kiedys nam jutro zgasi oczu płomień,
a dzień wczorajszy zatraci wspomnienia,
jak fala przyplyń, niestrudzona, do mnie,
z bryzą, na przemian.

Przemijam w prozie i we wszystkich wierszach,
uginam myśli nad krawędzią weny,
oddalam życie, a potem upiększam,
świat sens uziemił.

W tym małym ziarnie brokacę się wielce,
choć plaża losu zatracą snom oddech,
milknę na zawsze w nadmorskiej piosence,
od cierpień moknę.

Kiedys nam jutro zgasi wszystkie plany
i zamknie księgę ostatnim spojrzeniem,
pochowam frazy w piórniku drewnianym.
Trafisz tam? Nie wiem.

MOTTO:

*„Tobie, słońce, oddaję te dachy pocięte
w dziwne linie... daleko idące, jak morze...
niby fale w bezruchu zastygłe, zakłete...
błękitnawe śród nocy, czerwone pod zorze (...)”*

Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska

Wśród zwierzeń (strofa Słowackiego)

Słońce ty moje, oddaję kominy
ludzkich sekretów ołowianej prozy
i ten sentyment tak stary, babciny
cegły ułożył.
Tęsknot, co nie chcą zamilknąć w eterze,
poświaty świeżej.

Ułóż ramiona na spękanej ziemi
i złotem obsyp konary wszechświata,
wzrok twój potrafi życie zarumienić,
z chmurami zatańcz.
Bądź drogowskazem pośród wszystkich zwiężeń,
rozczul najszczerzej.

Słońce ty moje, oddaję te mury
bolesnej męki wyklutej z goryczy,
nakarm nas blaskiem w tym czasie ponurym,
gdy człowiek - nikiem.
A ja cię schowam na białym papierze
wśród wszystkich zwierzeń.

II miejsce: Mirosław Gabryś

Księżyc

Podobno Księżyc jest w środku pusty jak moja głowa, gdy czytam o kosmosie. Podobno w Księżycu żyła cywilizacja daleko bardziej rozwinięta od nas. Według „Prawdziwej historii” Lukiana, mieszkańiec Księżycy, umierając, rozplywa się w powietrzu. Ja też rozplywam się nad Księżycem. „Upaniszady” podają, że Księżyc jest poczekalnią dla dusz przed kolejnym wcieleniem.

Podobno Księżyc magazynuje stracony czas i niespełnione marzenia, czyli mnie niemal w całości. Podobno jasna strona została podzielona na działki i można sobie kupić nawet za 50 dolarów trochę straconego czasu i niespełnionych marzeń.

Podobno tajna misja Apollo 20 miała na celu zbadanie statku kosmicznego, znajdującego się po ciemnej stronie. Podobno nie ma ciemnej strony Księżycy, bo słynna płyta Pink Floyd mówi, że cały Księżyc jest ciemny. Podobno ten statek ma długość 3 km i rozbił się tam 1,5 mld lat temu.

Podobno jest skonstruowany z nieznanego ludziom materiału, którego nie dało się pobrać w celach badawczych, lecz misja była udana: podobno astronauta znaleźli Monę Lisę – świetnie zachowaną kosmitkę o kształcie humanoidalnym i sześciu palcach, a także drobne żyjątka i ślady roślinności.

Druga Ziemia

Podobno pod koniec XXII wieku z powodu przeludnienia połowa populacji ludzkiej zostanie przetransportowana na inną planetę. Podobno ta planeta to nic rewelacyjnego, podobno podobna do Ziemi, też na najniższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego, może trochę przyjaźniejsza, jeśli chodzi o warunki atmosferyczne, lecz i tak podobno wszyscy będą chcieli wydostać się stąd z nadzieją na lepsze jutro. Podobno jeszcze nie wiadomo, jak będzie wyglądać transport, choć można się domyślać, znając historię i ludzi ją tworzących. Nie wiadomo też, kto znajdzie się w gronie szczęśliwców i zacznie od nowa niszczyć i zabijać.

Teraz, kiedy

Teraz, kiedy wreszcie wiem, co i jak,
powinienem chodzić po tej planecie
jak po domu, a jednak ciągle jestem
w urzędzie, chodzę od okienka do okienka,
ćwiczę podpis, ale ogólnie chowam się
w kącie z kotem i miauczę.

Jeszcze nie zdążyłem się rozgościć
w chwilowym ciele, dopiero co
zdziałem buty i znalazłem kącie z kotem,
a już mam numerka, wstaję i tracę oddech.
Wkrótce wyjdę, już, już, lecz teraz proszę,
zamrucz mi coś ładnego.

II miejsce: Barbara Kosieradzka

Wizyta we wnętrzu

zezwoleń na czucie
wypisane z datą wczorajszą,
lecz zalecenia niejasne
recepta wypisana słowem niekodowanym
przez oprogramowanie serca
potrzebna aktualizacja,
ale wgrać jej nie umiem...

dawkowanie niezrozumiałe
co jeśli przyjmę zbyt wiele uczuć
i doznania będą zbyt liczne?
rozsadzą mnie od środka,
wywołując skutki uboczne
zmiany nieodwracalne

zaczę jeszcze kochać z całych sił,
nienawidzić nie tylko siebie,
złościć się, gdy mam powód,
smucić, gdy serce krwawi,
radować, gdy życie cieszy

czasem może jednak warto
posłuchać lekarza

Odebrane: 4 wiadomości

świat wysyła przypomnienia

by zmiękczyć wzrok
skierowany do wnętrza,
rozcieńczyć złość
buzującą w gardle,
rozluźnić pęta
zaciskające się na sercu,
wyciszyć myśli
dudniące w czaszce

i być
czuć
słuchać

podłączyć się do rzeczywistości

Uszy

kto pyta nie błądzi
zdanie pełne sprzeczności
bo co za pożytek
z pytania zadanego
w niewłaściwym kierunku,
jaka korzyść
z pytania zadanego
lecz nie prowadzącego do działania,
jaka wartość
pytania zadanego
gdy uszy odcięte
a serce zamknięte?

kto słucha nie błądzi
wystarczy, że pójdzie za Słowem

Wyróżnienie: Jerzy Fryckowski

Caravaggio Nawrócenie Świętego Pawła

Rozkładałam swe ramiona na szerokość krzyża
Otwieram pierś na miłość, którą zrodzi światło.
Odkleja się ode mnie rzymska zbroja łatwo.
Koń wstrzymując kopyto, łaską mi ubliża.

Uwolniłem pierwsze łzy wielu młodym matkom.
Chłodziły piękne twarze niczym pierwsza bryza.
Koń zmęczony galopem moją twarz oblizał.
Wskazał drogę do Boga brzucha skórą gładką.

I wyrosnę ze zbroi. Niemowlę motyla.
W napiętej żyłce starca krwią popłynę własną.
A koń jak światło Ojca nade mną się schyla.

Moich umyślnych zbrodni przerwij krwawe pasmo.
Nie uchroni mnie żadna srebrna miecza chwila.
Idź synu do Damaszku. Tam stanie się jasność.

Salvador Dali Chrystus Świętego Jana od Krzyża

Nie widzę w Tobie gwoździ, żadnego hufnala,
ani gałązki, z którą do brzegu dolecę.
Rybak na brzegu czeka wciąż mądrych poleceń.
Mój lot bywa jak wolność i wolność wyzwala.

Kiedyś krzykną do ciebie ci, co czyszczą piece.
Po tym jak je zaleje więźniów martwa fala.
Nie mów, że jesteś jak ptak, który dym oddala
i okłamuje gniazdo ilością doleceń.

Wisieć na krwawym krzyżu to dziś żadna sztuka,
bo trudniej złowić rybę rękoma gołymi.
Ty wołasz do Kościoła, aby nas oszukać.

Zobacz na krematorium. Każdy komin dymi.
Tylko w głowie Jezusa jak strzał pusta luka.
Oduczyli się dusić rękoma gołymi.

Edgar Degas Kąpiąca się w wannie

Znów jesteś mgłą niebieska jak w szkolnym mundurku.
Wnet zmyjesz z siebie zapach ostatnich kochanków.
Zaraz wybiegniesz w miasto świeżych obwarzanków
wypachniona jak one ognia twardą skórką.

Setki dni obiecałaś śpiąca o poranku.
Rozebrany do naga lub ubranym w piórka.
Już wołają cię gwizdy zdradzonych z podwórka.
Już budzą się rywale. Zaraz staną w szranki.

A Twoje nagie plecy? Błada mapa świata.
Łądy dawno zdobyte. Czasem mokre deszczem
łez pierwszego kochanka, który dłonie splatał

ponad nieszczęściem pierwszej chłodnej chwili dreszczu,
bo kąpałaś się dla mnie każdego dnia lata.
Ciagle kąpiesz się naga. A ja wołam: *Jeszcze...*

Wyróżnienie: Milena Gojny-Zbierowska

Odchylenie standardowe

patrzysz na nią gdy łąpczywie wchłania czerwień
promień przebił się przez rozwarstwienie
do kopuły i dalej w kości
gęstość wnikała w ścianki bez osocza sam sok
żeby było bezpieczniej podzieliliśmy świat na mój i twój
mój skończył się nad ranem twój odjechał z numerem 810
zagryziony wycior wypłynął z krwią
przystanek przechował samotność poranka

Pierwiastkowanie

jako matka powinnaś wiedzieć że uśmiercę cię
jeszcze wielokrotnie
jak ty wielokrotnie uśmierciłaś mnie
jak chociażby wtedy gdy urodziłaś mnie po raz pierwszy
czy wczoraj gdy umarłam pod twoimi słowami
przybita do krzyża potrzeby akceptacji
na swoje usprawiedliwienie mam wiele dyplomów
rozwieszam myśli jak pranie
w twoich rękach są spóźnionym przekleństwem

Redukcja wyrazów podobnych

gdy mówisz jak bardzo wczoraj umarłeś gdy po raz
pierwszy nie mogłeś sobie przypomnieć drogi do domu
drogi którą nosiłeś w sobie od dzieciństwa
obrastam ziemią korzenie wciągają mnie do trzewi
północny wiatr rozrywa nozdrza
bez wysiłku rozszarpuje poczucie sensu
skóra ma słony smak
słony to ostatni posiłek
już wiem że jutro to tylko słowo

Prace zauważone:

Anna Fojtel

Miazga

Ponieważ daleko do grobu, wracam
do miejsca, w którym po raz ostatni
całowałam twe stopy. Noc biegnie

w kierunku przeciwnym

niż sen. Mówią, że jest pomostem, że jest
jak symbol, który można przerobić
na użytek doczesny i własny. To przemykanie,
te migawki we śnie, których kurczowo można się chwycić.

Ale moje sny wyrzucają na brzeg jedynie martwe ptaki.

Tymczasem, w domu, w którym żył, ktoś inny żyje.
Znienacka lampa zapala się i gaśnie,
dwukrotnie, lecz po raz pierwszy.
Ulica senna.

Ty jesteś miejscem we mnie, którego szukam poza mną.
Dlatego nie, nie przychodź do mnie we śnie.

Biel

Kiedy wyszedł ksiądz, on zapłakał głośno
twarz zamykając w dłoniach. Podbiegłam,
żeby zamknąć jego dłonie w swoich
gestem jaki wcześniej uczynił ksiądz.
Drogi ojcze, jeśli zawiodłam, jeśli nie umiałam
być córką, to dlatego, że ty nie potrafiłeś,

nie potrafiłeś trzymać mnie za rękę. Teraz moglibyśmy
zacząć naszą historię, ale czułość, która w nas zakwita
jest daremna. Nasza historia otwiera się w chwili domykania
tego, co przez lata utknęło w nas jako ojciec i córka;
to przytrzyma nas na dłużej, ale nie ocali.

Ze wszystkich ran ta będzie najpiękniejsza.
Cokolwiek teraz powiem, będzie to widoczne w inny sposób.
Cokolwiek powiem teraz, stanie się to złudzeniem.

Cudne łądownisko, jego oznaczenie

W tiszercie i pielusze. Podłączony do morfiny, glukozy, cewnika.
Być może do czyjejs modlitwy o jego powrót do zdrowia (daremny),
do prochu (łagodny). Coś pociąga za sznurek i puszcza,
a on wpada w tę część snu, która jest fikcją, nie budzi się.
Stąd prowadzi tylko dotyk. Choroba oczyszcza z agresji i wstydu.
Mógłby na nowo uczyć się jak być człowiekiem, ale stąd prowadzi
tylko dotyk, a tamta modlitwa puszcza do niego kaprawe oko.

Emilia Marniok

drobinki kurzu osiadają na moich powiekach

i nagle się budzę
jedziemy przez zapomnianą
tajską prowincję
dziur w drodze jest więcej
niż myśli w mojej głowie
(a byłam przekonana
że to fizycznie niemożliwe)
coś tam marudzi
że mam się go trzymać bo
strasznie się wkurwia
jak tego nie robię
ale ja nie chcę
lecę właśnie nad
prowizorycznie połatany asfaltem
lecę i może zaraz pogruchotam sobie
wszystkie kości
zjedzą mnie
wychudzone bezpańskie psy
których cienie
nieudolnie gonią
za naszym motorem

trudy i cuda rekonwalescencji

pomimo sklejonych powiek wiem
że jestem tam
gdzie powinnam
gdzieś między jego barkiem
a miednicą
wklejona w żebra
niczym kancerogenna narośl
ale pan się nie martwi
usuniemy na NFZ
zostanie tylko mała blizna
może lekki niesmak
a wtedy ja
nim zatopią mnie w formalinie
podam mu szklaną butelkę coli
i wszystko minie
jak zły sen
jak nic nieznaczące
splunięcie na chodnik

trywialność rzeczy żywych

myślę że też to czuję
mówi a serce
dziwnie pęka mi tuż pod przelykiem
niczym bąbel na stopie
po całym dniu zwiedzania
obcego miasta
choć wiem
że to porównanie kompletnie niepoetyckie
i nudne
jak każda
(nieudana?)
miłość

Jakub Grabiak

po lewej stronie

wyprzedzam siebie o krok. pępek miejsca jest na końcu oddechu.
wierzę, że wieje wiatr, że rozgania liście i to tu wszystko przywołuje.
wierzę, że w każdym miejscu, wszędzie, spoczywa początek.

i w drogich, martwych mi miejscach, gdzie ryby składają ikrę,
gdzie mówią już ziarna pod następny zasiew. wierzę, że w każdym
końcu spoczywa miejsce, i że na wszystkich szczytach płoną ognie.

wierzę, że w każdym miejscu rosną koniec i początek,
jak dwa związane grzywami konie, rozrywające szramę.
istnieje morze, gdzie moja matka wyrzuca popiół,

czekając na mnie. istnieje stara waląca się chata
z wyrwanymi drzwiami. za nimi czai się czerń.
stamtąd przychodzę. ten obraz był tu wcześniej,

zanim przyszedłem. wyprzedzam siebie o krok,
o jeden oddech, który nie może się zatrzymać.

Atum

siedziałem na pagórku i spijałem mleko zorzy z pępka początku.
wziąłem w ramiona ciemność i rozdarłem swoją pierś,
wyleciały z niej ptaki. śpiewały o morzu i śmierci,
o górach leżących jak chleb, przecinając

linę horyzontu, gdzie niebo kocha się z ziemią.
Geba, Nut, moje dzieci. ze swojego ramienia zrobiłem flet,
gdy grałem, na niebie pojawiły się gwiazdy, a były to oczy
dziewczyny, o której marzyłem. i miękki cień objął wszystko jak koc.

potem zasnąłem. śniłem o rzece, wychodziły z niej olbrzymy.
stały nieruchomo, a ja całowałem je w usta. wtedy strąciły
szyby swoich czarnych kominów, swoje prochowce.

odchodząc na wschód, mapy czasu na ich plecach rysowały szlaki.
ważki odleciały ze złotych śladów. i blask na schodach
wyglądał jak dywan, rulon, zwinięty język.

Nun

gdy mnie wymyślałeś, byłam spokojna.
wziąłeś mnie w objęcia. śniłeś o rybach,
pytały o imię swojej śmierci i o czas,
którego nie znałam, i byłam wciąż

taka sama, nieruchoma, drżącą w sobie jak noc,
gdy przetacza się przez ulice nieznanymi miast.
to ty ze mnie wyszedłeś, śpiewałam ci wiatr,
śpiewałam kołysanki o niezaludnionych górach.

a później odpłynęłam w swoją stronę, na skraj,
i przyplęwały we mnie ryby, pytać o imię
swojej śmierci, a ja milczałam, jak milczałam

zawsze, gdy nie istniał jeszcze czas. i śpiewałam
o morzu, kiedy wyrzuca na brzeg połamane
deski statków, lecz nie rozumiały.

I miejsce: Paweł Wichowski

Mała luka przejaśnień

Było już całkiem ciemno na dworze. Mały chłopiec siedział półnagi na krawędzi łóżka w swoim pokoju. Patrzył z niepokojem przez okno, jak gdyby musiał pilnować nocy, aby pod jego nieuwagę nie zrobiła nikomu nic złego. Nagle rozległo się skrzypnięcie drzwi.

– Połóż się już. Dobranoc – powiedziała młoda kobieta o pięknej, lecz zmęczonej twarzy. Dało się zauważyć, że płakała najwyżej kilka minut temu.

– Dobranoc, mamó – odpowiedział chłopiec bez odrywania wzroku od okna. Lecz gdy tylko kobieta wyszła, odwrócił się tam, gdzie przed chwilą stała. Pożałował tego, że nawet nie spojrzał na matkę. „Jutro na pewno spojrzę...” pomyślał, a potem z powrotem zaczął wyglądać przez okno. Niebo było bezchmurne, co ostatnio nie zdarzało się często. Chłopiec uważnie śledził więc wyraźne gwiazdozbiory. Znał je równie dobrze, co meble swego pokoju.

Jego ojciec był astronomem. On sam też mógłby nim kiedyś zostać. Patrzył w bezkres czarnej otchłani przecinanej świetlistymi punktami. Przypomniawszy sobie słowa, które zobaczył ukradkiem w niedawnym liście ojca do matki: „chcę umrzeć patrząc w gwiazdy”. Myśli spływały chłopcu do głowy tak intensywnie, że niektóre z nich niemal szeptały, patrząc w zagadkową otchłań nieba.

– Ty, kimkolwiek jesteś i jeśli w ogóle jesteś... Może wszystko to, co dzieje się wokół, dzieje się przez ciebie. A może tylko dlatego, że cię wymyśliliśmy? A jeśli naprawdę jest was wielu i musimy bić się za was w waszym imieniu tu na dole... Tata mówił, że niebo jest tylko kurtyną prawdziwej, niepojętej sztuki. Że ważne jest to, co jest za nią, a my tu jedynie przemykamy jak łódki rybaków na morzu pod Świętą Górą. Jeśli tata wciąż żyje, a to jego ostatnia noc, to pozwól mu patrzeć w niebo, tak jak ja robię to teraz. Gdziekolwiek jest tata i patrzy w chmury, proszę odgonić je, nawet jeśli masz zagonić je tu, nad naszą Kokurę, i zostawić je już na zawsze. Niech dostanie od ciebie jeszcze cokolwiek na ziemi, jeśli okaże się, że nie ma nic za kurtyną nieba.... – łzy zaczęły napływać chłopcu do oczu. Myśl, o ojcu, który miał dzielnie patrzeć w górę, jeśli pojawi się tam błyszcząca gwiazda, dodawała mu nadziei i była jak mała luka przejaśnień w zachmurzonym mroku świata. Zawiesił wzrok na gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy i nagle z zadumy wyrwało go skrzypnięcie drzwi. Do pokoju znów weszła jego matka.

– Nie położyłeś się...

– Już naprawdę się kładę – powiedział chłopiec, patrząc na nią uważnie. Skrzyżowali swoje spojrzenia i stali się smutni jeszcze bardziej, lecz z pewnością doceniali, że dzielą ten smutek, trzymając się razem. Chłopiec zamknął oczy, wsuwając się pod pierzynę. Usłyszał skrzypnięcie oznajmujące odejście matki.

– Proszę, daj mu oglądać czyste niebo, nawet jeśli ja mam oglądać już tylko deszcz, burzę i wszystkie chmury tego świata... – powiedział cicho i starał się zasnąć. Przypominał sobie nazwy gwiazdozbiorów widocznych na drugiej półkuli. Zawsze chciał je zobaczyć. Zasnął, choć wydawało mu się, że słyszy wycie syren. A może to był już tylko sen.

Gdy nazajutrz obudził się, powitała go mgła i szare chmury. Jeszcze nigdy nie wierzył w boską moc tak bardzo, jak wtedy, gdy uznał, że przez przyjęcie na siebie „wszystkich chmur tego świata” wymodlił słońce i czyste niebo dla swego ojca.

Ale nigdy nie dowiemy się, czy nasze modlitwy docierają do niebios. Wiemy tylko, że z łatwością sięga tam człowiek.

Była już chyba siódma rano tego sierpniowego dnia, gdy major Charles Sweeney – rostry pilot rodem z Massachusetts – zdecydował o zmianie toru lotu swojego bombowca. Major Sweeney. Jego nazwisko będą wspominać przez lata. Podobnie jak nazwę samolotu, którym leciał, a nawet bomby, którą prznosił. To zbyt ważna bestia, by pozostała nienazwana.

Początkowy plan zakładał inny przebieg operacji. Jednak załamanie pogody nad pierwotnym celem, miastem Kokura w prefekturze Fukuoka, sprawiło, że amerykańska eskadra musiała wdrożyć plan awaryjny. Co prawda, drugi zatwierdzony przez dowództwo cel ataku – Nagasaki – również pokrywały chmury. Ale w ich warstwie pojawiła się nagle mała luka przejaśnień, która pozwoliła na zidentyfikowanie miasta i udany, choć nie do końca precyzyjny rzut.

„Jakie szczęście”, pomyślał major Sweeney. W przypadku nieprzerwanej złej widoczności również nad Nagasaki, musiałyby liczyć się z zawróceniem do kontrolowanej przez jego kompanów bazy na wyspach Okinawa i zneutralizowaniem wyjątkowo niebezpiecznego ładunku w odmętach wód Pacyfiku. Tak się jednak nie stało.

Mała luka przejaśnień. Jak gdyby ktoś wymodlił tu nagle czyste niebo.

I tak w jednej sekundzie radioaktywnego piekła rozpląnął się w nicość ten, kto miał pecha po prostu być tam na dole. Dziecko, starzec, pielęgniarka, piekarz, nauczycielka.

Astronom.

Nieważne, jak mocne światło nadziei rozpała w nas modlitwa. Ważne, jak w mrok spycha ją cień cudzych planów.

I miejsce: Sławomir Dawidowski

Ostatnia dawka życia

Po wielkiej sali balowej wędrowały reflektory, oświetlając złotym blaskiem granatowe kolumny i ciemne ściany. Wśród nich przemykali elegancko ubrani ludzie, trzymający kieliszki szampana a nad nimi wisiały szerokie balkony, na których zasiadali ludzie wyższych sfer. Całe pomieszczenie ozdobiono neonami i ekranami z logo LifeEnd Labs, które zniknęło wyłącznie w momencie emisji kolejnych spotów reklamowych.

- Nowa era! Nowy początek!

Przez głośniki rozbrzmiewał głos Carla Lubstheina. Prezes naszej korporacji zasiadał na najwyższym balkonie, na fotelu z ogromnym oparciem wyłożonym białym aksamitem.

- Szampan dla Pani? - zaczepił mnie kelner z tacą.

- Tak, oczywiście.

Znów uśmiech. Przychodził mi naturalnie, choć był maską. Kreacją opanowaną przez lata pracy w korporacji. Dzięki niej sprawnie poruszałam się pomiędzy gośćmi dzisiejszego bankietu: politykami, przedsiębiorcami, celebrytami i ludźmi nauki. Oprócz nich byli Kandydaci, którzy na swoje kreacje nałożyli białe alby. Stanowili większość zebranych na sali balowej, a ich rola była dziś wyjątkowa. Jeden z nich miał wygrać loterię i zostać pierwszą jednostką, która oficjalnie przyjmie nasz produkt - lek gwarantujący zgon po kilku minutach. Szybki, skuteczny i bezbolesny. Rewolucja na rynku eutanazji i praw człowieka.

- *Godność i wybór!* - dzingiel poniósł się po sali. Ekran zaczęły emitować mój spot reklamowy. - *Rok 2050 zaczynamy od zmiany ludzkości!* - A po chwili - *Życie i śmierć to prawo każdej jednostki!*

Po kilku minutach nadano komunikat „Atrakcja wieczoru już za 10 minut! Prosimy o pozostanie na sali balowej wyłącznie Kandydatów, pozostałych gości prosimy o zajęcie swoich miejsc.”

Dołączyłam do grupy opuszczającej salę. Po jej bokach znajdowały się korytarze i schody pozwalające przejść na inne piętra i balkony. Każdy istotny gość miał na nich swoje miejsce, aby podobnie jak w Koloseum, obserwować walkę Kandydata ze śmiercią, w której zwycięstwem będzie zgon.

Zostałam sama, wyłącznie ja kierowałam się na ostatnie piętro. Zwolniłam, potrzebowałam chwili wytchnienia. Mimo to słyszałam dudniącego przez

głośniki Carla Lubstheina, który wykladał kolejne hasła pełne zachwytu i obietnic nad rewolucją. Zbliżałam się do niego, prezes zasiadał na piątym piętrze, wśród innych członków zarządu i dyrektorów. Ubrałam maskę i weszłam pewnym krokiem zajmując fotel ze złotą plakietką „Dyrektor ds. Marketingu”.

Nagle rozbrzmiały dźwięki filharmonii. Zaczęło się. Przygasły światła, zostały tylko reflektory, które zwróciły się ku scenie spowitej w czerwonej kurtynie. Za nią czekała atrakcje wieczoru. Materiał delikatnie, wręcz nieśmiało zaczął rozsuwać się na boki, ukazując ogromną szklaną kulę, wypchaną białymi losami.

- Proszę Państwa nadszedł ten moment! - podsumował prezes.

Wrzawa, krzyki, ekstaza.

Obok kuli pojawił się konferansjer. Wysoki mężczyzna miał w swoim orężu śnieżnobiałe zęby, mikrofon oraz starannie przygotowaną przez nas przemowę - bo w LifeEnd Labs wszystko jest kontrolowane. Mój asystent zaczął mnie zagadywać. Przeżywał, że zrobiliśmy najlepszą kampanię na świecie i dzisiejszy bankiet jest jej zwieńczeniem. A ja czułam się szaleńcem wśród innych szaleńców. Nie rozumiałam idei LifeEnd Labs. Wykonywałam wyłącznie swoją pracę, dzień za dniem, rok za rokiem, aby piąć się po szczeblach organizacji. Życie dało mi wyłącznie taką szansę. Kolorowe neony moich reklam uderzały mnie w twarz.

- ...Twój wybór, Twoja wolność! - konferansjer zakończył przemowę.

Potem rozbrzmiały werble, nadszedł moment rozstrzygnięcia. Wychyliłam się przez balkon. Wszystko było transmitowane, musiałam pozostać w swojej roli.

Na sali balowej Kandydaci nacierali na scenę. Byli niczym jeden organizm, niepokojąca siła, gotowa spełnić swoje przeznaczenie. Z balkonów spadały na nich oklaski.

Losy zaczęły tańczyć w szklanej kuli, a po kilkunastu sekundach śmierć dokonała wyboru. Przez szufladę wyłoniła się karteczka. Konferansjer pochwycił ją zgrabnie i zerknął szybko, a twarz jego niczego nie zdradzała. Powoli zbliżył mikrofon do ust, rozciągnął każdą sekundę do granic, jak prawdziwy profesjonalista.

- John Lubsthein!

Budynek zatrzęsł się. Wiwaty, toasty i...moje zdziwienie. Zgubiłam maskę patrząc jak z głębi sali wyłania się jedna postać. Biała alba idealnie pasowała do młodzieńczej twarzy, prawie niewinnej, niedawno jeszcze anielskiej. Syn naszego prezesa dopiero skończył osiemnaście lat. Jego zgłoszenie nie powinno trafić do puli, nie powinien być wśród Kandydatów...

Obszedł zabezpieczenia albo te zawiodły.

Chcieliśmy zabawić się ze śmiercią, a ona zaśmiała nam się w twarz.

Zrobiło mi się słabo, poczułam nienawiść do samej siebie. Mimo to skierowałam głowę w prawo. Kto mógł i kto był świadomy również spojrział w kierunku prezesa. Zatopił się w swoim ogromnym fotelu, z dala od barierek. Uciekał od swojej ukochanej roli bycia w centrum uwagi. Jego szara twarz przypominała zmarłego. Szklane oczy wydawały się nie widzieć niczego. Nagle zerwał się, nachylił nad barierką i zaczął wiwatować najgłośniej ze wszystkich.

Wiedziałam, że to maska, że w tej grze jest o wiele lepszy ode mnie. Nie mógł tego zatrzymać. Straciłby wszystko, całe LifeEnd Labs straciłoby wszystko, a szeroka kadra udziałowców i pracowników nie mogła sobie na to pozwolić. Wiedział, że jest za późno, że system jest zbyt wielki.

Dołączyłam do wiwatów.

II miejsce: Jarosław Rumianowski

Blask nadziei

Siedziała na drewnianej ławce pod rozłożystym dębem, który rósł tu od dziesiątek, może nawet setek lat. W dłoniach trzymała starą książkę. Na okładce, wytłoczony złotymi literami, widniał tytuł: „Na chwałę słońca”.

Brzmiało to niemal jak modlitwa jak hymn poświęcony światłu.

Dalekie trele ptaków, cykanie świerszczy i spokojne, jednostajne kołysanie się gałęzi tworzyły wokół niej aurę spokoju. Czowała, jak ogarnia ją dziwny rodzaj harmonii – jakby las, słońce i ta tajemnicza księga były częścią jednej opowieści, a ona znajdowała się właśnie w jej środku.

Klara znalazła tę książkę przypadkiem, przeszukując regały w małym, niepozornym antykwariacie na rogu ulicy. Było to jedno z tych miejsc, do których zaglądało się rzadko, raczej przypadkiem niż z planem. Drzwi wejściowe skrzypiały przy otwieraniu, a w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach starych książek – mieszanka kurzu, papieru i czegoś trudnego do określenia, jakby wspomnień zaklętych między stronami.

Przesuwała palcami po grzbietach oprawionych w skórę tomów, po pożółkłych papierowych okładkach, po księgach z wyblakłymi literami. Nie szukała niczego konkretnego, pozwalała, by to książki znalazły ją. I wtedy zobaczyła ją – cienki tom w miękkiej, lekko zniszczonej okładce, wciśnięty pomiędzy grube woluminy o bardziej krzykliwych tytułach.

Sięgnęła po nią niemal odruchowo, jakby książka sama wsunęła się w jej dłoń. Spojrzała na tytuł, a jej serce zadrżało z niewyjaśnionego powodu: Wanda Dobaczewska – „Na chwałę słońca”.

Nie знаła tej autorki. Nigdy wcześniej nie słyszała jej nazwiska, nie natknęła się na żadną jej książkę. A jednak coś w tym tytule ją przyciągnęło, coś sprawiło, że nie potrafiła odłożyć jej z powrotem na półkę. Może to właśnie było to – światło, którego teraz tak bardzo potrzebowała.

Otworzyła pierwszą stronę, a drobne, eleganckie litery, lekko wyblakłe pod naporem czasu, zdawały się szeptać do niej cicho, jakby zapraszały do świata, o którym jeszcze nic nie wiedziała.

Spojrzała na sprzedawcę.

– Dobra książka? – zapytała, nie odrywając wzroku od pierwszego akapitu. Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Dla odpowiedniej osoby – odpowiedział zagadkowo.

Klara nie potrzebowała więcej. Wiedziała, że ta książka należy do niej. Zaczęła czytać. Słowa płynęły miękko, jak spokojna rzeka, malując przed jej oczami żywe obrazy. Widziała szerokie łąki skąpane w blasku poranka, ich trawy lśniące od kropli rosy, niczym diamenty rozsypane na zielonym dywanie. Czowała ciepło pierwszych promieni słońca, muskających delikatnie ziemię, budzących ją do życia. Słyszała śpiew skowronków wznoszących się wysoko nad polami, ich głosy drżały w powietrzu, jakby niosły w sobie sekrety samego nieba.

Poczuła, jak coś w niej drga, jakby odnajdywała w tych wersach coś znajomego, choć nigdy wcześniej ich nie czytała. Może to była tęsknota za światłem, które przecież wciąż tu było, choć czasem zdawało się ukryte za zasłoną codzienności. Może to była obietnica, że nawet w najciemniejsze dni słońce nie przestaje świecić.

Przesunęła palcem po ostatnim wersie przeczytanego fragmentu, jakby chciała zatrzymać go na dłużej, wchłonąć go do końca. Oddychała spokojnie, a w jej sercu pojawiło się coś nowego – cichy, nieuchwytny płomień.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by wspomnienia ostatnich miesięcy napłynęły do jej myśli niczym morska fala. Nie mogła ich zatrzymać, tak jak nie mogła cofnąć czasu. Wojna zabrała jej wszystko – dom, który знаła od dziecka, wypełniony zapachem ciepłego chleba i dźwiękiem matczynego głosu. Przyjaciół, z którymi śmiała się jeszcze tak niedawno, nieświadoma nadchodzącej burzy. Zabrała też coś bardziej ulotnego, choć równie ważnego – poczucie bezpieczeństwa, wiarę w to, że przyszłość jest czymś, co można planować, a nie jedynie znosić.

Uciekła na prowincję, tam, gdzie drogi były ciche, a powietrze pachniało wilgotną ziemią i lasem. Szukała spokoju, miejsca, do którego chaos wielkiego miasta jeszcze nie sięgnął. Ale spokój nie przyszedł. Zamiast niego była pustka – głęboka, bezdenna. Aż do dzisiaj.

Wiersze, które trzymała w dłoniach, napisane dawno temu przez kogoś, kogo nigdy nie poznała, zdawały się mówić właśnie do niej. Jakby poetka, której nazwisko jeszcze niedawno nic jej nie mówiło, znała jej myśli, jej lęki, jej samotność.

Klara przesunęła palcem po zapisanych wersach i wyszeptała cicho: „I że nam z powiek niezwalczony odpędzasz sen, a od wezgłowia księżycy srebrzyste zmory...”

Słońce powracało w tej poezji nieustannie – jak latarnia prowadząca przez mrok, jak znak, że nawet najczarniejsza noc kiedyś się kończy. Może właśnie to

próbowała przekazać autorka – że światło nigdy nie znika do końca, tylko czasem trzeba nauczyć się je dostrzegać na nowo.

Poczuła, jak w jej sercu coś drgnęło. To było więcej niż oddech, więcej niż bicie serca – to była myśl, która dotąd wydawała się niemożliwa. Że może warto coś zrobić. Może wstać i pójść przed siebie, choćby tylko na spacer.

Powoli podniosła głowę i spojrzała na zachodzące słońce. Jego światło malowało złote smugi na polach. Było tu zawsze. Nie zmieniło się, nie zniknęło. To ona przestała je dostrzegać.

Zamknęła książkę, ale wiedziała, że słowa Wandy Dobaczewskiej już pozostały w jej sercu.

Wyróżnienie: Magdalena Laszczka

Niedopalki

Kopy trocin rozsypane przy drewni dwoiły się i troiły, pachnąc suszonym drewnem z pobliskich lasów. Stolarze brudni od kleju, z powbijanymi w ręce drzazgami i włosami uginającymi się od pyłu, odprawiali codzienne wędrówki. Nie łaż nam pod nogami, krzyczeli, zaciągając się dymem z kiepów przytrzymywanych zębami. Zmiataj stąd, szczeniaku, wypluwali z ust razem z lepłą flegmą. Cyrkularki pracowały z przerwami na złapanie oddechu. Promienie słońca docierały w najciemniejsze kąty, każdy zakamarek domu wypełniając zaduchem. A duchy unosiły się lekko w tej gęstości, pozwalając dojrzeć swoje mikroruchy. Pod naporem upału załamywała się czasoprzestrzeń. Ubrania lepiły się do spoconych ciał, kwiaty suszyły się od ostrych spojrzeń, a zwierzęta leniwie rozplływały się w kałuże futer.

Nero, zawołał chłopak, gwizdząc na dwóch złączonych palcach, które ułożył na środku warg. Czarny kundel przybiegł z pola z wywieszonym jęzorem i łapczywie dorwał się do blaszanej miski pełnej chłodnej wody, którą człowiek dopiero co przyniósł mu ze studni. Grudki błota zza połamanych paznokci rozpuszczały się we łzach wycieranych wierzchem dłoni. Umorusane czoło i powieki pokrywały się rytualnymi symbolami, przypominającymi te malowane przed walką na twarzach wojowników. Wściekłość pulsowała w chuderlaku jak wielka woda rwana przyplływami i odpływami. Pieniające się fale złości zalewały jego myśli. Chciał niszczyć, miażdżyć, kruszyć i uderzać w każdy napotkany przedmiot, szczególnie z drewna. Zydell pod nim zakołysał się pod nagłym niespokojnym ruchem. Usta zacisnął w cienką kreskę, próbując zapanować nad gniewem.

Dom bez przyzwolenia wydawał z siebie odgłosy stukania i trzeszczenia. Chłopak rwał przydługie bursztynowe kudły, sterczące na boki jak u niesfornego chochlika. Nagle zerwał się z miejsca i wybiegł. Jak hultaj, jak wiatr. Kierował się w stronę piekliska, nazywanego tak we wsi od stromych zboczy, którymi trzeba przejść dla skrócenia sobie drogi. Na ziemistej ścieżce, tuż przy płocie z żerdek zbitych przez Józka zeszłego lata, minął dziewczynę zapatrzoną w dal. Mieszkała niedaleko, dwa domostwa za zakrętem, w bielonej chałupie po babce. Za domem miała jabłonie i śliwy pełne soczystych owoców, których sok oblepiał i wabił. Nie raz wybierał się na szaber i zwędził co nieco z tego ogrodu. Nie znał

jej, lecz woń piżmowych kadzidełek zatrzymała go w pół kroku. Moja matka lubiła ten zapach, rzucił, dziwiąc się, że słyszy swój głos. Odwróciła się nader śmiało. Grzbietem dłoni potarła piegowaty nos, przypadkiem ścierając z ust pomadkę w kolorze głębokiego fioletu. Niesforne kosmyki zawijały się wokół jej twarzy, kontrastując z bladoniebieskimi tęczęwkami.

Lato topi się między ich palcami, złączonymi w mocnym uścisku. Towarzyszy jej dołeczek w lewym policzku, który łapie każdy promień słońca. Kamyki z bazaru dyndają na szyi, znacząc swoje miejsce. Inne mienią się uwięzione w oczkach pierścionków, w ciasnocie gromadzonych na dziewczęcych dłoniach. Wyżłobione koryta i niewypolerowane ścianki odbijają nierealne barwy turkusów, malachitów i opali. Przyszło jej trwać w miejscu, gdzie księżyc zawraca z wyznaczonego toru, bo ściana lasu staje mu na przeszkodzie. Kamienie prowadzą ją przez ciemność wiejskich drózek, by nie potykała się o ulatujące przez okna dusze bazarzy. Wieczory pachną kwasem potu i rumianą skórką chleba. Wonie unoszą się nad ubraniami roboczymi, które splątane leżą w kącie niczym ich niewinne ciała.

Gdzie wtedy uciekałeś, pyta. Nie potrafię cię odczytać, choć wróżę ze zmarszczek w kącikach oczu, jakie drogi obierają twe myśli, mówi cicho. Emocje roznoszą mnie zamiast trzymać sztywno w konturze ciała, więc daję się im bawić w ganianego, odpowiada. Cukier kryształ po kryształku rozsypuje się na blat ławy przykryty wykrochmalonym obrusem w ażurowe wzory. Opowiada o nienawiści. Wżera się w niego jak kwas, a kwas przez wszystkie jego otwory wylewa się na nią. Pali i truje. Ona przyjmuje to z pokorą. Więcej w tobie z dorosłego niż z dziecka, stwierdza. W sumie chyba nigdy nie byłeś dzieckiem, dodaje. Nie umiesz się bawić, a zabawa jest przyjemna. A gdyby tak..., urwała i dotknęła dwoma palcami jego podbródka. Nagle zajęło się pole po sianokosach pełne suchej trawy, niedawno palonej żarem słońca. Płonęło wszystko dookoła, drewnutnie, szopy, stosy desek, wióry, pola, łąki i lasy. Żarem zalały się jego oczy, z zawstydzenia chowające się za grzywką. A gdyby tak... nagle wpadło i wypadło. A gdyby i on spłonął? Milczał. Wtedy inaczej rozumieli niebezpieczeństwo iskier i niedopałków.

Pamiętasz, zwabiłaś mnie zapachem. Zachowałem się jak oswojone wcześniej zwierzę, przyznaj. Pachniałaś znanym i bliskim, choć jesteś tak inna od mojego świata. Znałem wcześniej tę woń i odczucia, jakie we mnie wywoływała. Matka pachniała nią cała, jakby codziennie zanurzała się w kadzidłowym dymie, żeby dać mu się przeniknąć do cna. Trzymała się mnie kurczowo, choć chciała wyrwać się z tego świata. Przygarniała prosto do serca, a ja chcąc nie chcąc

wdychałem jej zapach i nie mogłem przestać... Cisza. Opada lekko na wersalkę, pozwalając oczom się zamknąć, byle nie mówić więcej. Od kilku lat czuwa przy niej jak pies. Drzewa wyrastają wprost przez ich uśpione ciała. Wbijają je w ziemię jak drewniane kołki. Z serc strumieniami wylewa się bursztynowa żywica. Trwają w bezruchu, a miejsce przytula ich do siebie jak matka. Świat poza drzewami już nie istnieje.

Wyróżnienie: Karolina Krueger

Kwiat paproci 2.0

Było tak. Na Kujawach, a może Pałukach, żył pewien mężczyzna. Nazywał się Chciwiec. Był to człowiek szalenie zachłanny na ludzką uwagę. Robił wszystko, aby zwiększyć swoją rozpoznawalność w internecie. Kiedy zamieszczał na swoim profilu nowy materiał, zalewała go lawina lajków i serduszek. Jednak Chciwiec zawsze chciał ich więcej. Nie rozstawał się więc ze swoim telefonem, ponieważ smartfon z dostępem do sieci dawał mu to, na czym mu najbardziej zależało: poczucie, że jest ważny, bo miliony ludzi zwracają na niego uwagę.

Pewnego dnia stwierdził, że musi stworzyć materiał, który pobije rekord oglądalności. Przypomniawszy sobie, że jako mały chłopiec uwielbiał czytać baśnie i ludowe podania. Jego ulubioną historią była opowieść o roślinie, która daje magiczną moc rozeznania dobra i zła, wiedzę o ukrytych skarbach i zdolność rozumienia mowy zwierząt oraz ptaków. Postanowił odnaleźć legendarny kwiat paproci.

Chciwiec wiedział, że to zadanie nie będzie proste. Przeszukał internetowe zasoby i znalazł informację o wybitnej botaniczce, która wiedziała wszystko o florze okolicznych lasów. Chciwiec udał się do Wiedźmy.

Kiedy wszedł do jej maleńkiej chatki, kobieta powitała go pytaniem:

– Witaj, synku. Co cię do mnie sprowadza?

– Szukam informacji. – Chciwiec spojrzał na czarnego kota, który siedział na jej kolanach.

– Jak być znanym? – zachichotała, odgadując intencje mężczyzny.

– Skąd?...

– Jestem Wiedźmą. Jestem tą, która wie.

– Chcę znaleźć kwiat paproci – kontynuował Chciwiec.

– Skoro chcesz, to ci powiem. Dzisiaj noc Kupały. O północy rozkwita magiczny kwiat i świeci błękitnym światłem. Idź do lasu i go odszukaj.

– Idź do lasu i poszukaj?! Nie masz więcej wskazówek? – zapytał nerwowo Chciwiec.

Wiedźma westchnęła, a kruk siedzący na oparciu fotela rozpostarł skrzydła i zakrakał.

– To zadanie z pozoru proste. Będziesz poddany próbie. Doświadczysz wielkiego strachu...

– Nie boję się duchów – przerwał jej mężczyzna.

Wiedźma uśmiechnęła się tajemniczo i mówiła dalej:

– Pamiętaj: od chwili, kiedy zerwiesz kwiat, nie wolno ci się obejrzeć. Choćby nie wiem, co się działo, nie możesz się odwrócić! Jeśli to zrobisz, kwiat straci swoją moc, a ty stracisz swoją pamięć. – W tym momencie w kominku strzeliło sosnowe polano, a blask ognia upiornie oświetlił twarz Wiedźmy.

Mężczyzna udał się więc w głąb lasu. Przez całą wyprawę nie wypuszczał telefonu z ręki. Filmował, jak przedziera się przez kłujące krzaki malin, jak potyka się o wystające korzenie i upada na dywan zgniłych liści. Mimo że nie miał zasięgu, nagrywał. Zbierał materiał, dzięki któremu stanie się najpopularniejszym człowiekiem w internecie.

Wreszcie dotarł do małego jeziora przykrytego gęstą rzęsą. Po jego lewej stronie rósł stary dąb, którego konary dotykały tafli wody. Pod drzewem rosła wielka kępa paproci. Serce Chciwca podpowiedziało mu, że to jest miejsce, którego szuka. Mężczyzna zachwycił się fantastycznym widokiem. „Czy w tych pióropuszach znajdę maleńki kwiat?” – komentował głośno, podchodząc do zielonej płataniny. Zatrzymał się w miejscu, gdzie księżycowy blask najpiękniej oświetlał koronkowy gąszcz. Stał i patrzył w ekran, na którym drgał największy liść. I wtedy wydarzyło się coś, przed czym przestrzegła go Wiedźma.

Chciwiec poczuł nagłe ukłucie w żołądku. Po plecach przeleciał lodowaty dreszcz. Mężczyzna przeraził się, bo zobaczył, że bateria telefonu jest prawie wyczerpana. Jeszcze chwila, a telefon przestanie działać i cała jego wyprawa pójdzie na marne. Trzymając telefon w jednej dłoni, drugą nerwowo wyszukał w plecaku przenośną ładowarkę. Zęby zaczęły mu szcząć ze strachu, bo nie mógł od razu podłączyć zasilania. Bateria była coraz słabsza, a on bał się, że straci swoją szansę na zostanie najpopularniejszym człowiekiem w internecie.

Wnet silny powiew wiatru przewrócił Chciwca. Mężczyzna upadł na miękkie mech, ale nie wypuścił telefonu z ręki. Próbował wstać, by kontynuować nagranie, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usiadł więc oszołomiony, opuścił rękę, w której trzymał telefon, a jego oczom ukazał się najpiękniejszy obraz, jaki kiedykolwiek widział.

Wąski pas księżycowego światła przebił się przez gęstwinę dębowych liści i niczym reflektor oświetlił największy liść paproci. W lesie nastała zupełna cisza, w której Chciwiec słyszał tylko galopujące bicie swojego serca. Wnet miesięczne światło rozpałiło się mocniej. Srebrna poświata otuliła paprociowy pióropusz, a

na jego szczycie zabłysła błękitna gwiazdka. Skrzyła się tak cudnie, że Chciwiec nie mógł oderwać od niej wzroku. Na moment zapomniał o celu swojej podróży. Siedział bez ruchu i urzeczony wpatrywał się w migoczące płatki magicznej rośliny. Po chwili ocknął się i ostrożnie zerwał cudowny kwiat. Choć nie nagrał momentu, kiedy zakwita, wiedział, że odtąd stanie się najpopularniejszym człowiekiem w internecie.

Droga do domu była długa. Chciwiec przedzierał się przez maliny, które czepiały się jego kurtki i nóg. Potykał się o wystające korzenie drzew. „Byle się nie odwrócić” – powtarzał sobie. Chciwiec ze zdumieniem zauważył, że wie, o czym rozmawiają przemykające między drzewami sarny. Pojął, o czym szumią brzozy i buki. Rozumiał też mowę ptaków. Jednak to, co słyszał, wcale mu się nie podobało.

– Zmarrnujesz, strrracisz! – usłyszał krucze krakanie, kiedy przechodził pod rozłożystym dębem.

Chciwiec ignorował ostrzeżenia przyrody. Chciał jak najszybciej odzyskać dostęp do internetu i udostępnić nowy materiał. „Jeszcze nikt przede mną nie znalazł kwiatu paproci. To będzie hit” – myślał, a oczami wyobraźni widział wystrzeliwujące, niczym szampan ze wstrząśniętej butelki, słupki popularności. Krótka noc świętojańska dobiegała końca. Chciwiec dotarł na skraj łąki, nad którą nisko unosiła się mgła. Z przyzwyczajenia włożył do kieszeni rękę, aby sprawdzić, która jest godzina. I nagle jego serce stanęło. Zorientował się, że kieszeń jest pusta.

– Gdzie jest mój telefon?!

Chciwiec niewiele myśląc, odwrócił się. W tym momencie przypomniał sobie o przestrodze Wiedźmy, ale było już za późno. Natychmiast przestał rozumieć mowę ptaków i zwierząt. Zapomniał, dlaczego znalazł się na skraju polany. Nie wiedział, kim jest i co ma robić. Czuł tylko, że coś stracił. Coś, co było dla niego bardzo ważne.

Odtąd błąka się samotnie po świecie, szukając tego, czego nie potrafi nazwać.

Prace zauważone:

Katarzyna Gargol

Lato marzeń

*Szukam, kto mię sercem szczerem pokocha...
A na drodze mej żałośnie ból szlocha...
Szukam, kto mię do świetlicy zaprosi...
A w koło mię ciche skargi wiatr nosi!*

*Kędy stąpię wędzną kwiaty i ziola
Nikt mię słowem miłującym nie woła...
Idzie światem, mgłą tumanem owiana
Pełna bólu – okrutnica, Marzanna.*

„Marzanna”
Wanda Dobaczewska

Zimą ptaki śpiewają w C-moll. Chyba że chwyta prawdziwy mróz. Wtedy po prostu wypadają z gniazd jak kartofle, uderzają o ziemię, ale nic z tego nie czują, bo mają już szklane od lodu serca. Zbieram je wszystkie i układam obok siebie. Wyglądają jak kolekcja figurek. W spiżarni między powidłami a dżemem z agrestu zamieniają się we wspomnienie lata, bo jest im wreszcie ciepło. A gdy ziemia odzyskuje wilgoć, spulchniam ją i użyżniam pogruchotanymi skrzydłami. I powtarzam sobie z uśmiechem, że dostają ode mnie takie drugie życie.

A potem przychodzi wiosna i jest pośpiech, niepewność, zgadywanie, co ze mną będzie. Próbuję zmienić się w tamte kobiety z Instagrama. Gestykuluję jak one, śmieję się podobnie, odwiedzam miejsca, do których chętnie chodzą i mówię rzeczy, w które one wierzą. Noszę kozaki do długich spódnic i lakierowane paski. Wydaje mi się, że dobrze przerzucam grzywkę. Matka by mnie nie poznała, ale tu nie chodzi o nią. Dużo rozmawiam o tym z terapeutką, ale ona mnie nie rozumie, więc jeszcze mocniej udaję kogoś, kim nie jestem, żeby nie zginąć za to, kim jestem. Terapeutka każe mi przestać źle o sobie myśleć i żeby mi dała prawo do bycia sobą. Mam się nie porównywać. Wspomina coś o dojrzałości, wyjątkowości, inności. Daje ćwiczenia na pokochanie siebie. Nawet mi

wychodzą. Staję przed lustrem i odmawiam zdrowaśki do samej siebie, a potem idę na botoks i robię sobie kwas. Ani jestem ładna ani jakaś bulwersująca.

Gdy poznaję chłopca, zaczynam wierzyć, że to działa. Pokochanie siebie to jednak błogosławieństwo. Zaczynam być jedną z tych kobiet. Chłopiec odwiedza mnie coraz częściej, karmię go spizarenkowym latem, a śliwkowe powidła płyną mu po brodzie. Śmiejemy się dużo, wymyślamy przyszłość, rysujemy nasze dzieci. Ginekolog mówi, że takie jak ja są bezpłodne. Radzi wziąć psa, najlepiej ze schroniska.

Chłopiec tylko czasem przy mnie marznie, ale z miłości jakoś się przyzwyczajają. Idę wówczas do ojca i proszę, by coś z tym zrobił. A on podgrzewa dla mnie powietrze i ziemię - delikatnie i niegwałtownie. Niedługo później ludzie na to narzekają, a niektórzy twierdzą, że ocieplenia klimatu nie ma. Narzekam i ja, bo choć znam prawdę, to jestem jedną z nich. Ale po cichu dociera do mnie, że to właściwie koniec umierania. Śniegu nie będzie, niech żyje wieczna wiosna! Terapeutka sceptyczna, próbuje coś o minusach, ale ja już nie chcę słuchać o smutku i śmierci.

Coraz więcej tej wiosny wokół. Oswajam myśl, że tym razem się uda. Nigdy wcześniej nie zaszłam tak daleko. Pierwsze pąki na drzewach są jak diamenty kuszące z wystawy. Od zapachu powietrza kręci mi się w głowie, słyszę dzikie kaczki przelatujące nad parkiem. Nie umiem się nasycić nowalijkami. Szukam w słowniku słów, by właściwie opisać ich smak. Czyli to tak – chcę krzyczeć i zalewa mnie fala szczęścia, a za nią przypląwa kolejna, z wątpliwościami. Biegnę do domu, opowiem o wszystkim chłopcu. Im szybciej biegnę, tym więcej wody ze mnie płynie. Płaczę tak jak robią to one. Próbuję nie być histeryczna. Myślę o bałwanach umierających w słońcu, ale to nie ja - ja jestem prawdziwa. Przeskakuję co dwa schodki, wpadam do domu, a tam już na mnie czekają. Chłopiec ich przyprowadził.

Wyciągają mnie za włosy.

Marzanna, zimowa panna, w słomianej sukience rozpostarła ręce. W lęku drżąca cała, topić się nie chciała. Z rozwichrzonym włosiem, ognie ją poniosą.

Śpiewają. Tańczą. Świętują.

Kładą mnie na wodzie. Chłopiec gładzi mnie po policzku i mówi, że to tradycja. Patrzę w niebo. Wieje tak, że ptaki latają w miejscu. Być może to czas nie wytrzymał. Woda jest ciepła lub ja jestem zimna. Układam tę wiosnę w pojedyncze wspomnienia. Wekuję w myślach, poczekają w spiżarni. Słyszę trzask zapalki, którą ktoś przykłada mi do serca. Nigdy nie biło tak szybko. Jest inaczej niż zawsze.

Płonę.

Czy było warto? Teraz jestem jedną z was.

Zamykam oczy, słyszę ptaki w oddali. Zaczynają trele w C-dur. Byle do lata.

Wilk Wysp

I

Moi pobratymcy nie żyją. Być może wytrzebiono ich wieki temu. Czasami wydaje mi się, że nigdy nie istnieli, albo że dopiero nadejdą. Inni z mojego gatunku? Zapewne są, gdzieś indziej. Na innych wyspach. Być może na innych archipelagach. Krzepi mnie myśl, że ta możliwość może być konieczna.

Dosięga mnie kres. Coraz częściej zadaję sobie pytanie „co jeszcze mogę?” Zaraz za nim kroczy następne „Co w ogóle mogłem?”. Odpowiedź, która przychodzi, zawsze tylko na jedno z nich, zdaje się być trzecim pytaniem. Pytaniem bez znaku zapytania. Samą intonacją. Wznoszeniem głosu. „Niewiele”. Ostatnia sylaba niemal oderwana od reszty, od „niewie-”. Bawi mnie fakt, iż to jedno słowo zawiera w sobie aż cztery możliwe odpowiedzi, a każda z nich jest przyporządkowana idealnie do czterech głównych trybików rzeczywistości: negacji, multiplikacji, redukcji oraz ignorancji. „Nie”, „wiele”, „niewiele”, „niewie”. Ta ostatnia z felerem ortograficznym jedynie w swej wersji pisanej. I „le” jako zawahanie, zawijas niepewności? Absurdalny francuski rodzajnik? A może „ole!”, ukrócone o uniwersalną samogłoskę zdziwienia, symbolicznie podkreślające błogosławieństwo niewiedzy i jej radosnego, niemalże tanecznego charakteru?

„Niewiele” było moim kierunkowskazem. Niezbywalnym drogowskazem wśród wodzących na pokuszenie bezdroży. Coraz bardziej znikomych, coraz mniej przystępnych. Od dżungli dzieciństwa, przez stopy dojrzewania, sawanny pełnoletniości, pustynie dorosłości. Aż do wyspy. Przedzierałem się, włóczyłem, polowałem, przemierzałem, dryfowałem, czasami miotany bezlitośnie przez przypadek, innym razem wydawany na pastwę beznamiętności losu. Moje zielonożółte oczy, harde od niezliczonych powtórzeń sceptycyzmu, moja skóra, zgarbowana od nieustających nawałnic wątpliwości i razów zadawanych przez ogólność, moje kończyny, pełne pracy i kilometrów, częstokroć chybionej i prawie zawsze nadłożonych. Byłem rasowym outsiderem współczesności. Współczesności na miarę czasów, w których przyszło jej zaistnieć, wyłonić się z

braku chronologicznej jednoznaczności nie potrafiącej zaoferować już żadnej przyszłości. Współczesności futurystycznie bezpłodnej, samej dla siebie oraz jej wymyślonych pomiotów.

Kim byłem w trakcie moich tułaczek? Kim bywałem, kogo udawałem? W tropikach najmłodszych lat bez dwóch zdań – kameleonem. Świat mnie tresował, więc reagowałem, adaptowałem się, jednak nigdy wprost, nigdy jawnie. Zostawiałem sobie pole manewru do poznawania technik kamuflażu. Uczyłem się tej trudnej sztuki niemalże beztrudnie. Nie gnębiło mnie nic, co mogłoby przysporzyć mi nieodwracalnych traum i zaburzyć zgłębianie tajemnic znikania w otoczeniu. Można powiedzieć, że moje dzieciństwo było takie jakie powinno być każde dzieciństwo – nudne. Nudne dzieciństwo sprawia, że człowiek nabiera szacunku do ciekawości samej w sobie. Pozwala mu ono stać się głodnym świata, chroniąc zarazem przed niszczycielską żarłocznością przedwcześnie nadużywanej wyobraźni. Niestety, nudne dzieciństwo zawsze było i nadal jest egzystencjalnym dobrem luksusowym. Poza tym, na przekór wszystkiemu, niektórzy mają wrodzoną awersję do nudy. Ubarwiają sobie świat zbyt wcześnie, już w dżungli, która sama w sobie tętni pierwotną obfitością i nie potrzebuje żadnych dodatkowych podkolorowań. To właśnie najwięksi wrogowie nudy lądują na koniec na wyspach.

Kiedy lasy deszczowe pacholęstwa ustąpiły miejsca nastoletniej bujności traw, zacząłem grać z przecuciami iluzoryczności gier w życie. Moja umiejętność mimikry rozkwitła wówczas w pełni. Osiągnąłem w niej mistrzostwo, a nawet posunąłem ją o krok dalej. Wbrew powszechnym przypuszczeniom, kameleony zmieniają kolor nie po to, by wtopić się w otoczenie, tylko żeby komunikować, manifestować siebie, dawać znaki innym. Ja połączyłem oba koncepty: wyrażałem siebie tak, abym zniknął za otoczeniem, rozpląnął się w wizjach tych, którzy chcieli mnie postrzegać takim, jakim mnie sobie wyobrażali, a nie takim, jakim byłem naprawdę. W rezultacie otworzyła się przede mną furтка świętego spokoju – inni, najzwyczajniej w świecie, nijak nie mogli mnie tknąć. Wchodzili w interakcje wyłącznie z moją zewnętrzną projekcją. Ja byłem tylko dla siebie, okopany w sobie, książkę na zamku tożsamościowych iluzji.

Stałem się przez to niezwykle funkcjonalnym kameleonem. Syn? Proszę bardzo! Siostrzeniec? Łatwizna! Wnuk? Kaszka z mleczkiem! Pilny uczeń? Och,

cóż za fraszka! Kolega z podwórka? Z palcem w tyłku! Przyjaciel ze szkolnej ławy? Banał! Stałem się specjalistą od robienia dobrych min do zbierania pierwszych nieśmiałych dowodów na to, jak perfidnie potrafi zgrzytać zabawa w świat. Właśnie wtedy, gdzieś w liceum, jako przedwcześnie rozochocony kameleon, po raz pierwszy uległem jawnemu, w pełni uświadomionemu wpływowi paradygmatu o nazwie „niewiele”. Zacząłem nadużywać aktywnego kamuflażu, równocześnie redukując palety kolorów pragmatycznego współistnienia w zbiorowości, która coraz częściej usiłowała mnie zwodzić i zawodzić prymitywizmem zakłamania i niedorzecznością alternatyw bez wyjścia. Roztaczałem iluzję swojego bycia głównie przy pomocy książek. To z nich najmocniej wdzięczyły się do mnie dowody na niepodważalność „skąpstwa” rzeczywistości. Nie ufałem jednak książkom na tyle, abym mógł w pełni korzystać z ich dobrodziejstw. Coś mi w nich nie pasowało. Nie wiedziałem wówczas co. Dowiedziałem się dopiero na sawannie.

...

Artykuł zmechanizowany

Stał i patrzył jak zaczarowany na własne odbicie w sklepowej witrynie. Szanowna pani Właścicielka zdecydowała, że to właśnie on zajmie miejsce po pozytywce z baletnicą, którą młoda dziewczyna kupiła poprzedniego dnia.

Miał duże, zielone lisie oczy i długi, sterczący lisi ogon. Nie dało się ukryć – był lisem, tyle że stworzonym ze szkła. Był pięknym, błyszczącym, szklanym lisem, przed którym właśnie świat stanął otworem, a dokładniej to pudełko, w którym do tej pory był zamknięty. Nie zamierzał marnować czasu i ruszył na szklanych łapkach obejrzeć pozostałe sklepowe artykuły.

Minął porcelanową lalkę, której nóżki w maleńkich niebieskich bucikach zwisały beztrąsko z półki. Tuż za nią stała rodzina szklanych słoni z trąbami wzniesionymi wysoko do góry. Z tego co wiedział, to ludzie kupują je na szczęście. Ciekawe czy same są szczęśliwe? – pomyślał. Parę kroków dalej zobaczył zamszowego pieska. Zatrzymał się przed nim na moment i próbował złapać jego wzrok, ale głowa pieska skakała to w górę, to w dół. Cudownie było w końcu zobaczyć wszystko to, o czym tylko słuchał przez ostatnie tygodnie.

Następnie trafił na kanarka wyrzeźbionego w drewnie, a za nim na tłuściutką świnkę skarbonkę. W końcu dotarł do działu z „artykułami zmechanizowanymi”. Ta część nie była duża i znajdował się w niej tylko jeden artykuł. Mały stalowy robocik, zamknięty w kołowrotku dla chomika. Z pleców robota wychodziła cała masa kabelków i przewodów elektrycznych, które łączyły go z obrotową bieżnią. Robot pozostawał cały czas w ruchu. Szedł pewnie przed siebie, stawiając spore kroki i wymachując zamasyżycie niewielkimi rączkami. Zauważył lisa i podniósł dłoń w geście przywitania:

- Cześć, ty jesteś tym nowym na wystawie? – zapytał, nie zwalniając tempa.

- Tak, przyszedłem się przywitać. A kim ty jesteś? – odpowiedział wesoło szklany lis.

- Jestem Gemo. Jedyne zmechanizowane artykuły w tym sklepie – rzekł dumnie robot, próbując ukryć pojawiającą się zadyszkę.

- A dokąd idziesz?

- Przed siebie. Muszę iść cały czas przed siebie, jeżeli chcę wciąż działać. Jestem robotem i jako jedyny potrzebuję zasilania, do tego, żeby żyć. Widzisz

mój mały przyjacielu kabelki na moich plecach? Są one podłączone do kołowrotka, w którym chodzę. To przez nie przedostaje się energia, dzięki której mogę dalej istnieć. Gdy się zatrzymam, to pożegnam się z życiem – wytłumaczył szczegółowo robot.

- Musi to być niezwykle męczące – powiedział ze współczuciem lis.

- Chodzenie? Ach, nie, przyzwyczailem się do tego.

- Nie chodzenie, ale ta nuda. Już dzisiaj wiesz jak będzie wyglądał twój każdy dzień, do końca życia. Bez względu na to, czy przeżyjesz kolejny tydzień, czy kolejne sto lat – powiedział lis.

Robot zastanowił się przez chwilę, zwolnił kroku i odpowiedział ze smutkiem:

- To prawda mój przyjacielu. Jest to męczące.

Zapadła chwila ciszy. Gemo dreptał dalej przed siebie, a lis siedział obok i wlepiął w niego świecące, szklane oczy. Nagle zapytał:

- Próbowałaś szukać rozwiązania tego problemu?

- Co masz na myśli?

- Może moglibyśmy zainstalować ci inne oprogramowanie, żebyś czerpał energię z wewnątrz? – zastanawiał się lis.

- Sprawdzalem już tę opcję. Nowsze modele właśnie tak działają, nie potrzebują kołowrotka. Niestety ja jestem na tyle stary, że nie można dostać już nigdzie takich części – odpowiedział robot.

- To może udałoby się je wyprodukować od podstaw? – nie poddawał się lis.

- O tym też myślałem, ale nie ma na świecie osoby, która byłaby w stanie to dla mnie stworzyć. Ostatni człowiek, który zajmował się robotami z mojego wieku odszedł 10 lat temu. Od tamtej pory jestem pozostawiony sam sobie. Muszę bardzo uważać, żeby się nie zepsuć, bo nikt nie będzie umiał mnie naprawić.

- A gdyby przepiąć wszystkie twoje kabelki w inne miejsce z którego mógłbyś czerpać energię? Może ze słońca? Mógłbyś być słonecznym robotem! – wykrzyknął podekscytowany lis. Uznał, że tym razem jego propozycja jest nie do podważenia.

- Wspaniały pomysł mój przyjacielu, ale słońce w naszej szerokości geograficznej nie pojawia się wystarczająco często, żeby utrzymać mnie przy życiu. Rozwazałem również energię wiatrową, jednak niemożliwe jest dostosowanie siły wiatru do wymagań mojego oprogramowania. Przyjmuję tylko określone stężenie prądu. Za duże lub zbyt małe mogłoby uszkodzić mojej styki.

Lis spuścił wzrok, szukając w głowie kolejnego rozwiązania. W końcu odezwał się:

- Mam wrażenie, że nie wymyślę już nic, co mogłoby ci pomóc.

- To prawda mój przyjacielu. Jestem ci bardzo wdzięczny za chęci, ale uwierz mi, że rozważałem już każdą dostępną opcję. Przeczytałem dziesiątki książek, robiłem setki obliczeń i rozmawiałem z kilkunastoma osobami mającymi jakiegokolwiek pojęcie o robotyce. Poświęciłem większość mojego robotowego życia na próby uwolnienia się od tego kołowrotka. Niestety okazało się to niemożliwe – powiedział robot ze smutkiem. Wbił wzrok przed siebie i maszerował dalej.

- Dlaczego więc się nie poddasz? Czy nie lepiej nie żyć, skoro życie ma tak wyglądać? – zapytał nieśmiało lis.

Nie rozumiał motywacji robota i nie potrafił sobie wyobrazić życia w taki sposób. Bardzo chciał poznać jego punkt widzenia.

Gemo zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. W końcu rzekł:

- Dlatego mój przyjacielu, że wciąż mam nadzieję. Wiem, że nie ma na świecie osoby, która mogłaby mi pomóc, jednocześnie wciąż mam głęboką nadzieję, że jednak się mylę.

Okienko Prawdy

Zagląдалиśmy w nie, gdy nikogo nie było w pobliżu. Można się było w nim wiele dowiedzieć, a raczej – niewiele, ale tego właściwego. Świat był wieloznaczny i niejednolity, a nawet sprzeczny.

- To kraj A zaatakował kraj B.

- Nie, to kraj B zaatakował kraj A!

Pozostawaliśmy w stanie podwyższonej gotowości.

Jednego dnia do Miasta wjechały czołgi. Obsypaliśmy żołnierzy płatkami kwiatów. Mówili obcym językiem. Nie wiemy, kim byli ani skąd i po co przyjechali. Jedliśmy ich niesmaczne jedzenie. Mieliśmy się uśmiechać i wiwatować.

Nikt tej sytuacji nie wytłumaczył ani do niej nie wracał. Dzień później wszystko było jak dawniej.

Praca – dom. Szkoła – dom. Zahaczaliśmy o klub sportowy, czasem o kino, o teatr. Kupowaliśmy mniej lub bardziej przydatne rzeczy. Tworzyliśmy świat takim, jakim miał być. Byliśmy tymi „zwykłymi”, a zarazem przykładnymi. Wypełnialiśmy role potrzebne Miastu. Trybiki dobrze funkcjonującej maszyny sprawiały, że nic nam nie zagrażało. Oczywiście, śmierć pozostawała niezwyciężona – ale całkiem przewidywalna. Wiele chorób dało się wyleczyć. Dzięki ćwiczeniom, dzieci – pozostać w formie. Maszyna Miasta przetwarzała rzeczywistość do pożądanego formatu. Konwertowaliśmy swoje zachowanie, wiedząc co jest oczekiwane.

Pragnienie poznania prawdy zaspokajaliśmy zaglądnąc do Okienka. Choć nigdy oficjalnie nie ogłoszono jego obecności, każdy w pewnym momencie dowiadywał się, że takie miejsce istnieje, tak jak odkrywał, że Świętego Mikołaja jednak nie ma.

Chodziliśmy tam od czasu do czasu, na ile pozwalała nam rzeczywistość. Jak każdy mieliśmy swoje obowiązki. Z dumą służyliśmy Miastu, a czasem po prostu robiliśmy to z przyzwyczajenia, by wszystko funkcjonowało jak należy. Nikt nam nie powiedział, co się wydarzy, gdy nie będziemy postępować „jak należy”. Nie chcieliśmy niczyjego cierpienia ani przysporzyć problemów Miastu, które nas karmiło, dawało poczucie bezpieczeństwa. Nie mieliśmy nikogo poza nim. Wszystkie relacje trwały w jego ramach i służyły jego dobru.

Czasami nasi bliscy znikali.

Nikt takich sytuacji nie tłumaczył, nie wymagały bowiem wyjaśnienia. Widocznie byli bardziej potrzebni gdzieś indziej, w innym Mieście. To nie kara – to było jasno komunikowane – lecz nikt z nas nie chciał opuszczać Miasta. Oczywiście nasza wola nie miała znaczenia. Należało robić to, co najlepsze dla Miasta. Tylko je znaliśmy. Byliśmy z nim zespoleni od zawsze. Nic dziwnego, że nie chcieliśmy zostawić matki-karmicielki.

Miasto dało nam dostęp do swego serca, duszy – czymkolwiek było Okienko – umożliwiało ujrzanie Prawdy.

Poznawaliśmy ją pomalutku. Ziarnko po ziarnku. W odstępach czasu. Zbyt duże porcje by nas zniszczyły. Ci, którzy spędzali w okienku wiele czasu, podobno dostawali pomieszania zmysłów. Nikt tego oficjalnie nie potwierdził. Być może to tylko miejskie legendy, które krążyły by dodać spokojnemu życiu kolorytu.

Wiedzieliśmy, że prawda uzależnia, i nie należy jej przeceniać. Porządkowała rzeczywistość i nadawała znaczenie otoczeniu, lecz nie powinno się wierzyć tylko jej. Czasem okazywała się tak nierzeczywista, że trudno było dać jej wiarę.

Zaglądając do Okienka – patrzyliśmy przez palce przykrywające oczy. Prezentowane obrazy zdawały się nie mieć sensu. Ulice Miasta były tak wiernie odzwierciedlone. Wyciągane z domów ciała wyglądały tak realnie.

Gdy rozlegały się syreny – kierowaliśmy się do pokoju przetrwania. Wiedzieliśmy, że to chwilowe, że Miasto wyje, bo cierpi. Ma prawo okazywać emocje po tym wszystkim, czego doświadczyło. Trzymanie dzielnic w ryzach, zapewnianie porządku, dostępu do jedzenia, służby zdrowia, kultury, edukacji to wymagające zadanie.

Gdy dźwięk syren nikł, liczyliśmy do stu, po czym wracaliśmy do przerwanych czynności. Zwykle działa się to w nocy i przyzwyczajeni szybko zapadaliśmy w sen.

Kiedy w Okienku pojawiał się dźwięk syreny – na zewnątrz roіło się od ludzi. Związane ciała wrzucano do furgonetek. Czuliśmy znajomy zapach. Wierzyliśmy, że w reakcji na cierpienie Miasto wybucha, wyrzucając gniew poza swe granice. Pozostawaliśmy wyrozumiali. Tyle mu zawdzięczaliśmy. Nawet Miasto miało swoje słabości i wybuchu gniewu, ale w ich trakcie nigdy nie działa się nic złego. Miasto było odpowiedzialne i odreagowało stres tak, by nikomu nie zaszkodzić.

Okienko Prawdy mówiło co innego. Według niego Miasto działało poza swoimi granicami pochłaniając ogniem ciała. Jak mogło tak kłamać!

Wielu z nas zrywało się z zaciśniętymi pięściami. Nie mogliśmy pozwolić, by coś sabotowało Miasto, szkalowało jego wspaniałość.

Ta zatruta część, drzazga w sercu Miasta, próbowała nas nakłonić, byśmy się zwrócili przeciw niemu. Musiała być pozostawiona przez wroga. Tyle o nim przecież mówiono. Tyle razy przed nim ostrzegano.

Zaczęliśmy ciskać w Okienko kamieniami, ale wcale nie było szklane. Kamienie zagłębiły się w nie na moment, po czym uderzały w nas ze zdwojoną siłą. Mogliśmy tylko uciekać i już więcej do niego nie zaglądać. Nie powracać do niego myślami i pamiętać, że w sercu Miasta czai się wróg, na którego trzeba uważać.

Obserwować, kto chodzi do Okienka zbyt często i zgłaszać to Chroniącym Miasto. Zdawać sobie sprawę, że znikają w nocy, gdy wyją syreny. Śmierć zdrajcom! Chwała Miastu!

Okienka Prawdy nie da się zniszczyć. Prawda chroni Miasto przed nieudacznikami, którzy dawali jej wiarę, którzy zamiast zrywać się z zaciśniętymi pięściami, rzucać w niego kamieniami – kulili się w kłębek i płakali jak dzieci.

I miejsce: Kalina Skotnicka

Do poetów o odszkodowanie za rozczarowanie

Och ludzie wielcy - poeci!
Dajcie że już spokój
z tą miłością na zawsze
miłością na wieki
miłością...
na litość boską.

Czy wciąż wam nie żal
dni tych głupich dni
zmarnowanych
z miłości...
do swojej twórczości?

Przestańmy wymyślać
biednej miłości
która czasem tylko
bawi się krótko
w rozwianych włosach
i tańczy nocą
złodziejka snów z ciemnego nieba.

Ach poeci drodzy!
Twórcy miłości własnej
miłości idealnej
miłości...
niewykonalnej.
Wciąż jej wam mało.

Czy nie starczy miłości

złapać zwyczajnie
w przelotnym spojrzeniu?
Nie po wsze czasy
ani po krańce ziemi
i broń boże
nie na zabój!

Tęsknota pana Ove

Przez te x lat małżeństwa
zdążył nawet polubić dziwaczne nawyki swojej żony
wcale mu się nie znudził
jej ekscentryczny charakter.

Po kilku nieudanych próbach
nauczył się w końcu jak segregować kolorowe skarpetki
i że jedyną właściwą kawą
jest gorzka parzona w dzbanku.

Jakoś nieswojo mu teraz
kiedy to na nim spoczywa obowiązek podtrzymywania rozmowy.
Zwykle to ona śmiała się za nich dwoje...
Upiornie cicho w tym domu.

A choć od pół roku budzi się bez niej
wciąż nie zaprzestał porannej inspekcji grzejników.
Może podkręciła je w nocy
lubiała przecież robić mu na złość.

Plac Bankowy

cały świat
nie pochmurnieje
bez ciebie

słońce wciąż budzi się leniwie
choć zaraz mamy wiosnę
i wiatr drażni uroczo
niezwiązane włosy

gubię się nadal
jak się gubiłam zawsze
w plątaninie metra
i za nic nie powiem
w którą stronę
na Plac Bankowy

przez chwilę
trzymałam w dłoniach
twój uśmiech
a dni wywróciły mi się
do góry nogami

zabawna
ta złośliwa
przewrotność
losu

II miejsce: Martyna Wybraniec

Chwila pomiędzy

Między śmiercią a życiem jest chwila
- czy ona jest najważniejsza?

Tam, gdzie ból styka się z nadzieją,
tworzy się próżnia, z której wyrastamy.

W tej próżni spoczywa pytanie
- co dalej, co po nas?
A odpowiedź jest jak wiatr,
ulotna, lecz nie do zignorowania.

Czy potrafimy objąć nieskończoność
jednym oddechem,

Czy też spadamy w jej otchłań?

Rozdroża

każde rozdroże ma swoją ciszę
rozpiętą jak napięta nić
między możliwościami,

każda ścieżka ślizga się pod stopami,
jakby ziemia uczyła nas lekkości.

czy można pomylić się w wyborze,
skoro żadna droga nie prowadzi wstecz,
a czas nie zna skrótów?

może błędy to tylko linie papilarne decyzji,
rysunki odcisnięte na piasku,
które rozwieje pierwszy lepszy wiatr?

stojąc po raz drugi w tym samym miejscu,
nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi
- czy możemy wybrać inaczej,
skoro to nie my sprzed roku
stawiamy stopę na nowym początku?

droga jest wszystkim, co mamy,
ciągłym teraz,
które nie potrzebuje powrotów,
by istnieć.

Mosty

budujemy mosty z drewna i myśli,
z niedokończonych zdań,
z wątpliwości wbitych w deski jak gwoździe,

przechodzimy przez nie sami,
choć zawsze ktoś czeka po drugiej stronie
- albo tylko nam się wydaje.

rzeka nie dzieli, nie woła po imieniu,
jest tylko cieniem, który nie zna kierunku,
odbiciem tego, kim mogliśmy być
gdybyśmy wybrali inaczej.

każdy most jest chwilą,
niepewnym stykaniem się terażniejszości,
która zaraz się rozpadnie,
pomiędzy tym, co jeszcze było,
a tym, co już nigdy się nie stanie.

czy odważysz się wejść?
czy sprawdzisz, czy druga strona istnieje?
czy zostaniesz na brzegu,
bo boisz się, że most prowadzi donikąd?

III miejsce: Grzegorz Sobkiewicz

bieg życia

w ciągłym pośpiechu
w szaleńczym pędzie
dalej
szybciej
teraz
zaraz
na już
nieustanna bieganina
w dzikiej pogoni
zawsze coś wzywa
zwariowany taniec ze światem
chaos zagubionego czasu
w rozgonionej codzienności
szepciem zaklinana przyszłość
gonitwa życia
poza zasięgiem widzenia
pędzimy przez dni w kalendarzu
skaczemy przez pory roku
nie ma mety
ani końca
zabiegani bez wytchnienia
zabiegani prawie na śmierć

czy ten pęd ma sens...

stojąc w progu

stojąc na progu dorosłości
wiercę paluchem dziurę
w całym
latam frywolnie
z beztroskimi
zwiewnymi motylami
naiwnie chwytam się młodej
wolności
moje naście mnie poraziło
kurczowo trzymam się marzeń
odklejonych
do granic wytrzymałości
rozciągnąłem
cierpliwość rodziców
uzyskując apogeum
tato zamknął ciasno ramiona
kiedyś miękkie
ciepłe
cierpliwe
otwarte na rozcież
mama zabarykadowała serce
wcześniej pełne dobroci
wrozumiałe
szczodre
pachnące wanilią

usiadłem zrozpaczony
teraz rozumiem
to ścieżka donikąd

do mojego Anioła Stróża

pomocy o Aniele
podaj mi swoją bladą dłoń
i poprowadź
tak bym więcej nie pobłądził
skuszony jak Adam
obietnicą lepszego

chciałbym iść z Tobą
przez świat
byłoby mi prościej
nie potykałbym się
o wystające korzenie grzechu
nie zaczepiał
o wiszące macki niegodziwości
dzięki Tobie ominąłbym
pokusę i pychę
siostry samego kusiciela
pomóż mi
mój bosonogi Strózu
bym nie spadł
w najciemniejszą otchłań
czeluść bezbożną
bo dziś to takie proste

Wyróżnienie: Maja Grab

Cukierki i papierki

Powiedzieliśmy rzeczy, o których
Wolelibyśmy nie pamiętać.
A potem dorośliśmy.
Już nigdy nie będziemy tak szczęśliwi,
Jak wtedy gdy mieliśmy parę lat,
A zdarte kolana oznaczały przygodę.
Smak słodczy zapomniony,
A słowa zamieciemy pod dywany
Niczym papierki od cukierków
Dawno zapomniane

Rozbite lustro

Wczoraj jeden film,
Dzisiaj drugi.
Żyję nim, jestem nim.
Mój wygląd już się zmienił,
Charakter nie należy do mnie
Jutro trzeci film i znowu:
Ktoś inny siedzi w moim pokoju,
Ktoś inny patrzy na mnie z lustra,
Przez które próbuję się przedrzeć,
Aby zdążyć na herbatę

Koniec

A teraz leży
Z piersią przebitą
W płamie cieczy o barwie rubinu.
Jej twarz blada jak śnieg,
Znajome oblicza we łzach.
A ta bez życia, zabita trwogą

Wyróżnienie: Antoni Szeferafin

Defasonacja zwierciadeł

Ona nie-lilia, nieblada, NIEbiańska
Odwaga patrzy z ciemnego zwierciadła

Oczy ma bure - typu mezalians
Odbite oblicze kamienne - nie-agat

Wertykalny dysonans, deficyt;
Czy to bujda podana przez mity?

Ile ma sensu cielesny optymizm?
Natura? Obyczaj? Oboje są winni!

Ile warte te prądy, idee?
„Kolejeczka" rzekł kiedyś przyjaciel...

Synkretyczne zastałem serce
W ażurowej obłoków oprawie.

Jak w labiryncie konwenansów, szuflad
Wylewać magmę na własnych warunkach?

Brunatna chmura jak wielka kałuża -
Cirrus, cumulus czy może szaruga?

blask - krawiec kulawy
Niechaj rozświetli nieboskłon dziurawy!

Czas, piach
klepsydry monument
On - przesypany - wyznaczy strukturę...

Otchłań

Między sklepieniami jestem, na obydwu jedna nogą.
moje myśli gnają pędem między chmurami a głową...

i rozszerza się p r z e s t r z e ń pomiędzy obłokami,
i muszę wybrać jeden, ażby się ocalić.
i oto moja zagwozdzka: za rozumem iść czy sercem?
przecież nie mogę tu zostać, otchłań pożera to miejsce...

bierność, stagnacja, letarg...
co mam zrobić by przetrwać?
już nie mam czasu wybierać -
obłoki rozsuwa nieład.

wpadam do środka gdzie panuje otchłań,
spadam... a wokół mnie mroczny tkwi nieład
ciemność mnie w oczy zaczyna uwierać.
nie mogę tutaj pozostać...

więc z braku sił, targany gniewem
wzbilem się mocno w powietrze.
i tak już wiszę nad niebem...
i tak już lecę...

Przyjaźń

Choć cieszysz się upajającym widokiem czerwieni
W ciepłe zachodzących dni
Wiedz, że powoli na niebo ciągnie się srebrzysta noc
Nie martw się, czerwień wróci
Wróci jeszcze piękniej
W innej okazałości, blasku i kolorze
Czasem jako łagodniejsza róża
Czasem zaś przybiera jaskrawy odcień dojrzałej pomarańczy
Jednak zawsze jest tym samym miejscem dla nas...

Prace zauważone:

Kinga Kusztal

Liść

Spadł z drzewa liść czerwony,
rozgląda się po lesie zielonym
i ze zdziwieniem patrzy w górę
w korony drzew ponure,
w konkretne drzewo, które
nie odzywa się, chyba nic nie pojmuje.
Czyżbyś mnie już nie chciało?
Może czegoś dałem ci za mało?
Podnieś mnie a przysięgam, że dam ci więcej!
Nie będziesz żałowało tej decyzji niewielkiej!
Drzewo nawet nie spojrzało,
nic nie zaszumiało, nic nie powiedziało,
ale liść gada szybko, zwięźle
i bezwzględnie,
dalej się stara.
To żarty prawda?
Zabawne! Ha, ha!
Czy teraz mogę już wrócić na górę?
Gdzie wszystko lepsze, piękniejsze?
Gdzie bezpieczniejsze i słodsze?!Drzewo tym razem się odzywa, jakby ożywa
spogląda na dół i...
Już cię nie potrzebuję!
Zawiało.
Zabolało.
Wiatr liścia w taniec porwał i już na drzewo więcej nie spojrzał.

Płomień

Od knota wszystko się zaczyna,
bo gdy płomień ożywa,
małe iskry popycha,
tli się i nadyma, nic go nie zatrzyma.
Do tańca zaprasza!
Niemo się odzywa,
ale ja go słyszę!
Słyszę go!
Tli się i nadyma, nic go nie zatrzyma.
Pomyka, lecz z knota nie ucieknie,
pląsa,
biega,
skacze,
śpiewa!
Och, jakież to piękne!
Aż nagle... o nie... świeczka się kończy!
Płomyk ucicha
i gaśnie.
Krzyczy niesłyszalny,
lecz nikt mu nie pomoże,
bo mimo że tańczy tak pięknie,
na zawsze musi pozostać na świeczce.

Pokoloruję

Pokoloruję świat cały,
bo wydaje mi się szary.
Drzewa będą niebieskie,
chmurki za to zielone,
kotki różowe,
pieski będą błękitne!
Wielorybom nadam kolor lawendowy,
a wężom agrestowy.
Pająki będą złociste,
bo mimo, że ich nie lubię,
to kolor im nadam.
Szczury pokoloruję na...
hmmm... a ludzi?
Ludzie...
będą wyglądać tak samo!
To znaczy, że ich nie pokolorujesz?
Pokoloruję!
Od środka.

Kamila Zembroń

Kłótnia

Gdzieś między ścianami rozplywa się
Dźwięk.
Znow się kłócimy.
Tłuczesz o podłogę szklanę
później talerz.
Krzyczysz, przeklinasz, dąsas się.
Strącasz z kuchennego blatu kubek.
Niszczysz wszystko wokół siebie.

Zapada głucha cisza.
Grunt pali mi się pod nogami.
Czy to koniec?

Słyszę kolejny huk głośniejszy
niż te poprzednie.
Tym razem to moje serce
runęło na ziemię.

To nic takiego.
Przynajmniej nie ma bałaganu.

Noemi Borysiuk

Chwila

Słońce ma jasne, ciepłe promienie.
Czasem przebija ich z trudem przez chmurę.
Widzę w nim radość i uśmiech i siłę,
Wszystko co piękne tam, w słońcu czuję.

Pomyśl troszeczkę
Czy warto za wszystko winić siebie?
Coś ci nie wyjdzie, coś czasem uda się lepiej.
Zastanów się jeszcze.
Na tym świat nie załamie się przecież.
Każda pomyłka i każda porażka
Jest twoją lekcją
jak dla małego ptaszka.

W słońcu promieniach szukaj nadziei,
Trochę odpocznij,
Życie się zmieni.

Po to są trudy, by przechodzić przez nie
Spełniaj z nimi marzenia największe.
Szukaj spokoju w słońca świetle
I odkryj koniecznie samego siebie.

Moja i niczyja więcej – MAMA

Płaczę, skaczę i się śmieję,
Mama pyta: Gdzie słoneczko jesteś?
Patrzę, chodzę, śpię i leżę,
Mama mówi: Mam tu ciebie!
Odpowiadam: Mamo, mamo, Kocham Ciebie!
Bo ty jesteś dla mnie wszystkim,
Ty jesteś człowiekiem silnym.
I dostępem do tajemnic,
Do tych wskazówek niedostępnych.

Pocałunek na policzek tysiąc razy dziennie dajesz,
Do snu zawsze mi czytałaś po miliony bajek.
Ty cierpliwość do mnie masz i miałaś,
Po sto razy powtarzałaś.

Wybacz, że czasem nie słuchałam,
Popępiałam błędów tyle
I wiedz zawsze
Będiesz dla mnie
Najpiękniejszym i wspaniałym, cudownym MOTYLEM.

Najpiękniejszy DAR

Jedno jest słońce
i jeden jest księżyc.
Jedna jest Ziemia
i serce w człowieku.
Jedna jest miłość
trwająca na wieki.
Ale jedno jest też ŻYCIE,
Które możesz cudownie przeżyć.

Każdy poranek,
każdy wschód słońca
niech ci maluje humor na twarzy.
Spełniaj swoje cele
i dąż do tego o czym od dawna marzysz.
Raduj się z życia
i żyj jego pełnią.
Pamiętaj i bądź wdzięczny za nie,
bo masz tylko jedno!

I miejsce: Martyna Przodzik

Szept starych drzew

W spowitym gęstym mrokiem lesie, gdzie wzrok stawał się bezużyteczny, najważniejszymi przewodnikami były słuch i węch. Drzewa, niczym koszmarne zjawy z dziecięcych snów, wyciągały swoje powykręcane konary, sięgając głęboko do zakamarków wyobraźni — nie tej kojącej, ostudzającej zmysły, lecz przerażającej, boleśnie realnej. Ich gęstwina skutecznie odcinała nawet najmniejszy promień światła, poddając w wątpliwość istnienie słońca.

Łowca kroczył z nosem przy ziemi, źdźbła szczypały mu pysk, ale był już przyzwyczajony.

Stop. Strumień. Podniósł łeb — woda tnąca wzgórze w pół huczała mu w uszach. Spiął mięśnie i przeskoczył sprawnie wąskie koryto, lądując bezpiecznie na suchej trawie porastającej przeciwległy brzeg. Obejrzał się. Nienawidził wody. A przede wszystkim nienawidził mieć mokrych łap.

Ponownie schylił głowę i ruszył, podążając za tropem. Jego łapy równo sunęły po runie, ruchami pełnymi gracji zmieszanej z ostrożnością, by żadne inne stworzenie nie usłyszało jego kroków. W mroku wypatrzyć nikt go nie mógł, zważywszy na czarne, pozbawione blasku futro.

Wtedy zamarł. Podniósł głowę, strzygąc szpiczaste uszy. Coś błysnęło w kącie jego ciemnych oczu, niemających w sobie ani iskry życia, zupełnie jak martwych. To było niecodzienne — jakie światło zawędrowało tu, w przestrzeń odciętą od wszelkiej iluminacji?

Niewiele myśląc, szedł dalej, wabiony zapachem, z łbem pochylonym, skupiając się na tropie i na każdym leśnym szeleście — lecz wokół panowała tylko martwa cisza, przez co nie wiedział już, czy coś mu się aby nie zdaje, czy naprawdę coś czai się w głuszy.

Ponownie przystanął — zapach był tutaj intensywniejszy, wiedział, że jest już blisko. Powoli podniósł głowę, zachowując wszelkie nabyte i instynktowne środki ostrożności... i wtedy dopiero to ujrzał. Mieniło się srebrem, leżało na glebie, wśród czarnych traw i zgniłych liści.

Ciekawość go pokonała — zrobił kilka wolnych kroków przed siebie, wysuwając pysk jak najbardziej tylko mógł w przód. Zaciągnął się. Tak — za tym właśnie tropem podążał. Przycisnął uszy do ciała.

Jego ofiara nie mogła pochodzić stąd — zginęłaby szybko przez jasne, mieniące się jak diamenty zabarwienie... piór? Tak, to były pióra z pewnością. A więc ptak. Drapieżny ptak — był bowiem całkiem wielki. Sokół? Może orzeł? Musiał boleśnie spaść z nieba, bo wcale się nie ruszał. Mógł być już martwy, ale dopiero od niedawna.

Nagle leżąca na ziemi sterta piór poderwała się ku górze. Łowca zamarł, oczami wyobraźni widząc już, jak rozkłada swoje wielkie, anielskie skrzydła i znika mu sprzed oczu kilkoma ich mocnymi uderzeniami w powietrze.

To się jednak nie wydarzyło — orzeł stał tylko, z czarnym dziobem zakrzywionym lekko niczym hak w dół, wpatrując się w niego pilnymi oczami, a jedno z jego skrzydeł zwisało bezwładnie, tonąc w trawie. Musiało zostać naruszone wskutek upadku.

Łowca miał dylemat. Gdyby tylko skoczył i go zabił, mięso starczyłoby mu na jakieś trzy dni, ale... czy to byłoby sprawiedliwe? W końcu orzeł nie mógł się bronić.

Gdy wreszcie, zrezygnowany, chciał odejść, zawahał się. To również nie było sprawiedliwe. Przecież jeśli on się zlitował, to kolejny drapieżnik już tego nie zrobi, a to z kolei znaczy, że jego poświęcenie pójdzie na marne.

To... co miał robić? Przejść z nim przez cały ten duszny las i zostawić go na oblanej słońcem polanie, by nie mogło dorwać go żadne mroczne stworzenie? To duże ryzyko — jeżeli wyjdzie na światło, będzie doskonale widoczny.

Nie chciał rozmyślać już ani chwili dłużej, zareagował instynktownie — pochylił głowę, dając mu tym gestem znać, że nie jest niebezpieczny. Przez dłuższą chwilę ptak przyglądał mu się tylko nieufnie, aż wreszcie, z trudem, wgramolił mu się na kark.

Był ciężki — Łowca ledwo podniósł łeb, ale był silny, wiedział, że da sobie radę.

Ruszył więc przed siebie w towarzystwie siwego orła, kojącego śpiewu ukrytych w gęstych koronach słowików oraz szumu starych drzew, zmawiających jakby ciche, bojaźliwe, ale oddane modlitwy.

Po chwili las zaczął ustępować, a złote promienie słońca tańczyły między pniami. Łowca mrużył przyzwyczajone do ciemności oczy. Wtedy wyszli na łąkę, nad którą, zamiast czarnych liści, wisiało błękitne, niemal klarowne niebo. Z wysokich, soczyście zielonych traw wychylały się nieśmiało purpurowe,

pachnące świeżością róże, wokół rozsypane były rozmaicie kolorowe kwiaty, a na nieboskłonie rozciągał się łuk tęczy.

Wtem orzeł rozłożył swe ogromne skrzydła i z ich donośnym hukiem poderwał się w powietrze — najwidoczniej musiał zdążyć już wypocząć i jako tako ozdrowieć. Łowca obserwował z uwagą, jak znika na żarzącej się białą okrągłej tarczy, a jego srebrne pióra mieniały się jak kryształ.

Pozostawiony sam sobie, przysiadł na ziemi. Nie musiał zniknąć. Nie było czego się bać.

Zmrok zapadł szybko. Łowca podniósł swe spojrzenie na srebrzysty księżyc, widząc w nim pozostałość po swoim dawnym towarzyszu.

Kolorowe światła zorzy polarnej karmiły jego wzrok — okazało się, że jednak nie jest taki nieistotny.

II miejsce: Julia Kocot

Ucieczka od nienawiści

15 maja 1920 r.

- 1920 – odruchowo spoglądam na kartkę kalendarza. Wizja silnej i niezależnej Polski stała się taka bliska, taka realna...Trzeba tylko odepchnąć rosyjską, czerwoną dłoń...Czuję, że szczęście jest tuż, tuż... Jakże mogłabym zapomnieć? Nowy rok liczy sobie dopiero pięć i pół miesiąca, a wydarzyło się już tak wiele! Wraz z początkiem stycznia rozpoczęła się akcja zaczepna grupy wojsk generała Edwarda Rydza-Śmigłego przeciwko bolszewikom na Dyneburg. Po całodziennych zaciętych walkach przy 30-stopniowym mrozie oddziały polskie weszły do miasta. W tym samym miesiącu, obserwowaliśmy jak Gdańsk staje się Wolnym Miastem, a nasz kraj doczekał się wreszcie dostępu do morza. Teraz moje serce przepelnia nadzieja.

21 czerwca 1920 r.

- Marianno, cóż to za fryzura? Wyglądasz jak chłopczyca. Co to za moda?

- Ależ tatku – odpowiadam łagodnie, obejmując go. – My pragniemy wolności! Palimy tytoń i prowadzimy samochód, jak wy mężczyźni.

- Nie gadaj bzdur, dziecko – rzuca oschle ojciec. – Trzeba wydać cię za mąż i wtedy te głupoty wywietrzeją ci z głowy. Wybiorę dla ciebie stosowną partię. Iwan Czerwiński wydaje się być człowiekiem na poziomie. Jakież on ma wpływy! Rodzi się nowy komunistyczny świat, a on ma w nim swój głos.

Patrzę na tatka szeroko otwartymi oczyma i nie dowierzam, co on do mnie mówi. Ja miałabym poślubić Rosjanina! Wolałabym umrzeć. Czuję, że w dworku nie już dla mnie miejsca.

13 sierpnia 1920 r.

Ileż to już czasu minęło, odkąd opuściłam dworek i przyłączyłam się do wojska w charakterze sanitariuszki? 10 Dywizja generała Żeligowskiego stała się mą nadzieją rozgrzewającą butne serce.

- Marianka, tutaj rozbijemy obóz - z letargu wybijają mnie słowa Staszka, patrzącego na mnie z uwielbieniem. Nieporadne zaloty Staszka wprawiają mnie w zażenowanie. My tutaj walczymy z bolszewikami, a on mi z amatorami wychodzi przed szereg. Teraz śmieje się głośno, a Staszek wtóruje mi.

15 sierpnia 1920 r.

- Sukces, Marianko, sukces! – Staszek unosi mnie nad ziemią i zatacza mną koła.

Naraz prostuje się i mówi z wielką powagą, starannie dobierając słowa, aby oddać powagę chwili:

- Odnieśliśmy ogromny sukces. Nasza wspañiała Dywizja generała Żeligowskiego wraz z pierwszą Dywizją Litewsko-Białoruskiej generała Jana Rządkowskiego po całodziennych zażartych bojach odniosła przepyszny sukces. Odzyskaliśmy Radzymin, a nasze dumne, polskie oddziały wróciły na utraczone pozycje.

Słyszając te słowa w moich oczach pojawiają się łzy. Czuję, jakby dziadek stał obok mnie, a jego ciepła dłoń gładziła moje włosy. Nagle moje oczy wypatrują dziwną postać.

On stoi w rosyjskim mundurze, wysoki i wyprostowany. Jego bladoniebieskie oczy wciąż patrzą dumnie i z pogardą, jakby to on przed chwilą odniósł zwycięstwo.

- Marianka – zwraca się znowu do mnie Staszek – daj temu psu jeść. Wzięliśmy kilku Ruskich do niewoli.

Mówiąc to, wprowadza młodego Rosjanina do jednego z naszych rozstawionych na leśnej polanie namiotów. Zostaję sam na sam z nieznanym. Przez chwilę nasze oczy spotykają się. Patrzę na niego butnie, jednak naraz odwracam wzrok i płonę szkarłatem.

16 sierpnia 1920 r.

Żyję jak we śnie. Kocham i nienawidzę równocześnie. Marzę, by znów zobaczyć jego oczy. Żeby znów usłyszeć jego grę skrzypiec.

- Przecież to bolszewik – krzyczę do swoich myśli po tysiącokroć. – Nie wolno ci! Na Boga, Marianno, nie możesz go kochać!

Mój krzyk serca przerywają słowa Staszka:

- Nie wolno ci! Nigdy na to nie pozwolę. Nie wolno ci go kochać! Nigdy! JA NA TO NIE POZWOLE! – krzyczy bez wytchnienia.

Patrzę w oczy Staszka i widzę w nich nie tylko zazdrość, ale i istne szaleństwo. Z przerażeniem odkrywam, że w ręku trzyma pistolet. Celuje go prosto w serce mojego ukochanego.

- Przestań, na Boga nie rób tego! – błagam, ale on już mnie nie słucha. Jego pistolet wystrzela. W ostatniej chwili udaje mi się odciągnąć ukochanego. Jednak kula trafia w jego ramię. Przerażenie nie odbiera mi jednak trzeźwości

umysłu. Czym prędzej biorę jodynę, skalpel i bandażę. Rozcinam skórę ukochanego. On ani drgnie, moja ręka też nie drży. Sprawnie wydaję kulę, a ranę zszywam równiutkim ściegiem.

Staszek patrzy na wszystko przerażonym wzrokiem. Po chwili odzyskuje mowę:

- Po co to zrobiłaś? Przecież to bolszewik. Ty masz być dobrą Polką i żołnierzem!

Patrzę mu prosto w oczy, kiedy odpowiadam:

- Nie, mam być człowiekiem wolnym od nienawiści...

III miejsce: Maja Nabiałczyk

Ostatnie Światło

Niebo płonęło.

Nie w sposób przerażający, jak wtedy, gdy ziemia rozstępuje się pod stopami, a ogień pożera wszystko na swej drodze. To było inne płonienie – ciepłe, powolne, rozlewające się po nieboskłonie jak leniwa rzeka światła. Zachód słońca rozlał się po horyzoncie pomarańczem i złotem, a między budynkami wirowały złociste drobiny kurzu, jakby ktoś rozsypał w powietrzu skrzydła aniołów.

Alicja siedziała na dachu starej kamienicy, opierając się plecami o ceglany mur. Miała osiemnaście lat i nosiła w sobie zmęczenie kogoś znacznie starszego. Czowała się jakby żyła już całe życie, choć dopiero zaczynała dostrzegać, jak bardzo świat jest inny, niż kiedyś wyobrażała sobie go z dziecięcej perspektywy. W jej oczach wciąż tliła się nadzieja, ale była to nadzieja, która miała na sobie rysy smutku.

– To już ostatni – mruknęła, patrząc na słońce, które powoli chowało się za horyzont. – Po nim nie wróci.

Od kiedy pamiętała, każda noc była coraz dłuższa. Najpierw tylko kilka minut, potem godzin, aż w końcu światło przestało wracać na dobre. Ludzie długo udawali, że to chwilowe – zresztą, co mogli zrobić? Ale Alicja wiedziała. W jej snach słońce szeptało jej prawdę – że odchodzi, że zmęczyło się światem, który nie doceniał jego ciepła. W tych snach była jedyną, która mogła je zatrzymać. Była ostatnią, która z nim rozmawiała. Tylko ona czuła, że jest coś, co nie zostało jeszcze powiedziane. I choć nikt nie wierzył, że światło może zniknąć na zawsze, ona wiedziała, że nie będzie już tak, jak dawniej.

– Nie możesz odejść – mówiła do niego w myślach, zamykając oczy. – Jeszcze nie. Świat nie jest gotowy.

Słońce nie odpowiadało, ale w jego świetle czuła coś na kształt smutku, jakby nie chciało jej rozczarować. Alicja otworzyła oczy, a na dachu obok niej pojawiła się postać. Adrian. Chłopak, który wierzył w światło równie mocno jak ona.

– To dzisiaj, prawda? – zapytał, siadając obok niej. Jego głos był cichy, ale pełen napięcia, jakby to, co nadchodziło, było nieuniknione.

Alicja skinęła głową. Wiedziała, że to, co nadchodzi, nie będzie łatwe.

Nie mieli planu. Co można było zrobić przeciwko odejściu samego słońca? Ale wiedzieli jedno – nie pozwolą mu odejść w zapomnieniu. W tych ostatnich chwilach nie mogli po prostu patrzeć, jak gaśnie bez żadnej reakcji. Musieli dać mu coś w zamian.

Zamknęli oczy. Wstrzymali oddechy. A potem, jak na komendę, zaczęli szeptać:

– Dziękujemy.

Za poranki nad rzeką, gdy woda mieniła się jak płynne złoto. Za letnie popołudnia, gdy ciepło osiadało na skórze niczym kojąca obietnica. Za zimowe dni, w które promienie rozjaśniały nawet najzimniejsze poranki. Za każdy przebłysk nadziei, który dawało światło. Za twoje ciepło, które nie tylko ogrzewało ciało, ale i serce.

Za ciebie.

Świat rozbłysnął.

Na ułamek sekundy, na jedno mgnienie oka, niebo zapłonęło jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej. Promienie wystrzeliły w stronę ziemi, jakby nie mogły opuścić tego świata bez jednego ostatniego, pełnego czułości gestu. Światło przepełniło miasto, przetoczyło się ulicami, wniknęło w każdy zakamarek duszy, a każda cząstka tego światła zostawiła po sobie ślad – jakby próbowało na zawsze zapisać się w pamięci ludzi.

Adrian poczuł, jakby cały świat wstrzymał oddech. Alicja natomiast poczuła, że jej serce bije w rytm tego ostatniego światła. Było to piękne, ale też smutne. Tylko przez chwilę, ale wystarczająco, by poczuć, że coś nieodwracalnie się zmienia.

A potem zapadła ciemność.

Ale nie była to pustka. W sercach Alicji i Adriana żarzyło się coś nowego – ciepło, które nie zależało od słońca, ale od ich własnej siły. Ciepło, które mogło ogrzać nawet najciemniejszą noc. I choć słońce odeszło, wiedzieli, że nigdy nie przestanie istnieć. Bo światło nie znika. Tylko zmienia miejsce. A tam, gdzie nie dotrze, tam musi trwać w nich.

Tylko w nich.

Wyróżnienie: Oliwia Kostrzewińska

Ścieżka przez mgłę

Mgła unosiła się nad łąką, jakby sama ziemia postanowiła oddychać, wydychając z siebie biały, wilgotny opar. Szłam powoli, stąpając po trawie, która ugiwała się pod moimi stopami, jakby chciała mnie zatrzymać. Każdy krok był jak pytanie, na które nie znałam odpowiedzi. Gdzie kończy się droga, a gdzie zaczyna cel? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak cel, czy może wszystko jest tylko wędrówką?

W oddali majaczyły drzewa, ich kontury rozmyte, jakby ktoś je naszkicował ołówkiem i nie dokończył. Ich gałęzie wyciągały się ku niebu, jak dłonie modlącego się człowieka. Zastanawiałam się, czy one też czują to samo co ja – tęsknotę za czymś, czego nie potrafią nazwać. Może to tęsknota za światłem, które rozproszy mgłę, a może za ciszą, która nadejdzie po burzy.

Przystanąłam, by dotknąć kory jednego z drzew. Była chropowata, pełna bruzd i pęknięć, jak życie, które zostawia na nas ślady. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w szum wiatru, który niósł ze sobą szepty przeszłości. Czy to głosy tych, którzy szli tędy przede mną? Czy może echo moich własnych myśli, które wciąż krążą wokół mnie, jak ptaki szukające gniazda? Mgła zaczęła się rozstępować, a promienie słońca przedzierały się przez nią, jakby chciały powiedzieć: „Jesteś tu, gdzie masz być”. Spojrzałam w górę i zobaczyłam niebo, błękitne i nieskończone. W tej chwili poczułam, że jestem częścią czegoś większego, czegoś, co niema początku ani końca. Moje kroki, moje pytania, moje wątpliwości – wszystko to było tylko małym fragmentem wielkiej układanki, której obrazu nigdy nie zobaczę w całości. Ale to nie było ważne. Ważne było to, że szłam. Że każdego dnia stawiałam kolejny krok, nawet jeśli nie wiedziałam, dokąd zmierzam. Życie to nie jest droga z punktu A do punktu B. To raczej taniec, w którym czasem kręcimy się w kółko, a czasem płyniemy z wiatrem. I nawet jeśli nie znamy wszystkich kroków, to sam fakt, że tańczymy, czyni nas żywymi. Mgła całkiem się rozeszła, a ja stałam teraz na skraju lasu, gdzie światło i cień mieszały się ze sobą, tworząc mozaikę nadziei i niepewności. Uśmiechnęłam się do siebie, bo zrozumiałam, że nie muszę znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Wystarczy, że jestem tu i teraz, że czuję ziemię pod stopami i wiatr na twarzy. Że żyję.

I wtedy usłyszałam śpiew ptaka, który wzbił się w górę, jakby chciał mi powiedzieć: „Idź dalej. Świat jest piękny, nawet jeśli nie zawsze go rozumiesz”.

Wyróżnienie: Emilia Ciesielska

W każdą środę rozmawiam ze Słońcem. Ktoś może zapytać, dlaczego akurat w środę? A taki mam ze Słońcem układ, że samiotki środek tygodnia będzie naszym czasem na pogawędki. Nikt nie myśli o tym na co dzień, ale mój rozmówca jest zazwyczaj bardzo zajęty, więc spotkania trzeba ustalać z wyprzedzeniem. Ma przecież cały świat do ogrzania, zanim może pozwolić sobie na i tak krótki odpoczynek nad naszym polem. Z tego powodu zdecydowaliśmy się wspólnie na ten dzień. No, a poza tym, w środę wcześniej kończę lekcje.

Zazwyczaj to ja prowadzę nasze rozmowy, a Słońce tylko mi przytakuje. Nie przeszkadza mi to wcale, bo wiem, że mało jest osób które dorównują mi swoją rozmownością. Tak przynajmniej mówi mi babcia. No więc opowiadam o wszystkim, bo wiem że Słońce nigdy się nie znudzi. Ale jak coś już powie, to i jemu nie zamykają się usta! Ostatnio dowiedziałam się od niego, dlaczego tęcza pojawia się częściej po deszczu lub zaraz po nim. Chociaż może było to na lekcji geografii...

W piątek niechcący zbiłam talerz babci. Wyciągnęłam go ze starego kredensu, tego dużego z szybami w drzwiach. Normalnie kredens jest zamknięty na klucz, ale babcia akurat go odkurzała, więc udało mi się zabrać jeden z talerzy. Było to owalne, białe naczynie z niebieskimi zdobieniami na krawędziach i naprawdę bardzo mi się podobało. Chciałam tylko pokazać je Słońcu i natychmiast odłożyć z powrotem, ale kiedy tylko wyszłam, na niebie pokazał się prześliczny tęczowy pas... Nie mam zielonego pojęcia jak to się stało, że talerz skończył na ziemi w siedmiu ostrych kawałkach. Szybko wyrzuciłam go do śmieci chociaż wiem, że powinnam była przeprosić. Tego wieczoru widziałam jak babcia płacze po raz pierwszy.

Nie mogłam uwierzyć, że tęcza sprowadziła na mnie takie nieszczęście. „To musiała być jej wina!” powiedziałam Słońcu i zdałam sobie sprawę jak bardzo nienawidzę jego ciszy. Teraz w środy rozmawiam z jeziorem. Jest trochę gorzej, bo na brzegu zawsze znajdzie się parę rozłożonych ręczników, ale znalazłam już spokojne miejsce na konwersacje. Słońce zawsze bardzo mnie ogrzewało, ale niebieska tafla przynosi raczej odwrotny efekt. Prawdę mówiąc, nie wiem, co bardziej mi odpowiada.

Babcia wybaczyła mi zbity talerz. Wieczorem, gdy wracałam z jeziora stała w drzwiach, czekając. Wciąż w mojej pamięci mam zapisany obraz jej ciemnej sylwetki odznaczającej się na jasnym prostokącie framugi. Pamiętam, że położyła mi ciepłą dłoń na ramieniu i przyciągnęła do siebie. Przeprosiłam ją siedem razy i zaprosiłam na następną rozmowę z jeziorem.

Siedzieliśmy razem pod drzewem, słuchać było szumu fal. Babcia właśnie skończyła opowiadać swoją historię o ślubie z dziadkiem i teraz towarzyszył nam tylko ćwierć skowronków. Cieszyliśmy się, bo to właśnie skowronki były ulubionymi ptakami dziadka. Często chodził po lesie, nawet gdy na przy ściętych pniach leżał jeszcze śnieg, i nasłuchiwał. „Chociaż wtedy nie skowronków” wytłumaczyła babcia „One odlatują na zimę”. Dziadek był ornitologiem.

Babcia sadzi lilie i mówi, żebym wróciła do rozmów ze Słońcem. Mam pewne wątpliwości co to tego pomysłu, ale chyba ma ona rację. Jest w końcu starsza i mądrzejsza. Poza tym, zawsze mówiła, że powinnam podążać za orłami, które przecież lecą podejrzanie blisko świecącej kuli, ponieważ jestem „uczciwa i prawdomówna”. Siedem kawałków talerza na ziemi pewnie miałyby inne zdanie, ale ja spróbuję zacząć jeszcze raz przekonać do siebie Słońce.

Słońce zgadza się z babcią, żeby nazywać mnie orłem. Nie jesteśmy już pokłóceni. Znowu rozmawiamy w każdą środę, bo czas dla jeziora zrobiłam w piątek. Wszystkim to pasuje, nawet babci. Przyznała mi, że sama zaczęła prowadzić pogawędkę z tęczą, kiedy tylko ta się pojawi. Patrząc w górę widzi też ptaki, które przypominają jej o dziadku. Mówi, że dla niego też Słońce kiedyś przeganiało z nieba błyskawice.

Prace zauważone:

Wiktoria Hara

Zaginiona tożsamość

Buenos Aires, rok 2025.

Patricia rozpoczęła dzień jak zwykle. Wstała, przygotowała się do pracy i ruszyła w drogę do firmy Fols, w której pracowała jako asystentka. Choć spóźniła się kilka minut, nikt tego nie zauważył. Jak co dzień zajęła się stertą dokumentów, z których musiała wyciągnąć najważniejsze informacje.

– Aloha! – rozległ się nagle znajomy głos.

To Robert, jej przyjaciel, który właśnie wrócił z urlopu. Jego beztroski uśmiech rozjaśnił biuro, a Patricia poczuła, że dzień może minąć szybciej, niż myślała. I rzeczywiście – nim się obejrzała, była już po pracy.

Zgodnie z codziennym rytuałem poszła na stragan po świeże owoce. Jednak tego dnia coś poszło nie tak. Nim się zorientowała, poczuła szarpnięcie – złodziej wyrwał jej torbę i rzucił się do ucieczki. Instynkt podpowiedział jej, by rzucić się w pościg. Nie wiedziała, skąd wzięła w sobie tyle siły i determinacji.

Dogoniła go. Złodziej zaatakował, ale Patricia zareagowała błyskawicznie – uchyliła się przed ciosem, chwyciła go za nadgarstek i obróciła w taki sposób, że upadł na ziemię. Ludzie dookoła zamarli, patrząc na nią z podziwem. Patricia odzyskała swoją własność, ale coś w niej pękło. Skąd znała te ruchy? Nigdy nie uczyła się samoobrony. A jednak jej ciało walczyło, jakby było do tego stworzone.

Nie mogąc przestać o tym myśleć, poszła do Anny, swojej psycholożki. Opowiedziała jej o wszystkim, a Anna, jak zawsze, starała się ją uspokoić.

– To nic złego – powiedziała łagodnie. – Niektórzy mają naturalny instynkt obrony.

Patricia poczuła się trochę lepiej, ale coś nie dawało jej spokoju. Gdy wyszła z gabinetu, przypomniała sobie, że zostawiła telefon. Wróciła, by go odebrać, ale wtedy usłyszała rozmowę zza drzwi.

– Dzisiaj opowiadała mi, że obezwładniła napastnika, nie wiedząc, skąd zna te ruchy – mówiła Anna.

– To pewnie pamięć mięśniowa – odpowiedział chłodny głos po drugiej stronie. – Trzeba się jej uważnie przyglądać. Jeśli zaczniesz odzyskiwać pamięć, możemy mieć problem.

Patricia zeszywniała. O jakiej pamięci mówili? Kto ją obserwuje? Weszła do gabinetu, udając, że nic nie słyszała. Zabierając telefon, spojrzała na Annę, ale jej twarz nie zdradzała niczego. Przez całą drogę do domu myślała o tym, co usłyszała.

Tej nocy zaczęła mieć dziwne sny – obrazy, które wydawały się wspomnieniami. Twarze, których nie pamiętała. Miejsca, w których nigdy nie była... A jednak czuła, że to część jej życia.

Nie mogła nikomu o tym powiedzieć. Robert był jej przyjacielem, ale czy na pewno? W końcu nie pamiętała jego obecności przed wypadkiem. Gdy się ocknęła w szpitalu, on tam był. Powiedział, że miała wypadek, ale... dlaczego miała lukę w pamięci? Postanowiła z nim porozmawiać. Opowiedziała mu o tym, co usłyszała w gabinecie Anny.

– Może źle ją zrozumiałeś – powiedział, zbyt spokojnym tonem.

Patricia zmarszczyła brwi. Jego reakcja była podejrzana.

Nagle zadzwonił telefon. Robert spojrzał na ekran i natychmiast wstał.

– Przepraszam, muszę pilnie wyjść – rzucił i niemal wybiegł.

Coś było nie tak. On też coś przed nią ukrywał. Nie zastanawiając się, poszła za nim. Szła kilka ulic, aż zobaczyła, jak wchodzi do budynku, to był gabinet Anny. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Co on tam robi? Dlaczego przyszedł do niej zaraz po ich rozmowie?

Nie mogła tak po prostu odejść. Cicho wsunęła się do środka i podeszła bliżej drzwi gabinetu i zaczęła nasłuchiwać.

– Powiedziała mi wszystko – usłyszała głos Roberta. – Słyszała twoją rozmowę. Wie, że ją obserwujemy.

Pot spływa jej z twarzy. Robert ją zdradził. Nie czekała ani chwili dłużej. Odwróciła się i szybko wyszła, zanim ktoś zauważył jej obecność.

Tego wieczoru nagle zadzwonił telefon. Nieznany numer.

– Halo? – odezwała się ostrożnie.

– Patricia. W końcu cię znalazłam.

– Kim jesteś? – zapytała podejrzliwie.

– Nazywam się Rita. Jestem twoją przyjaciółką.

Patricia zamarła. Nie ufała już nikomu.

– Przykro mi, ale nie znam cię.

– Spodziewałam się tego – westchnęła Rita. – Masz na lewym nadgarstku znamię w kształcie słonia.

Patricia wstrzymała oddech. Skąd ona to wiedziała?

– Spotkajmy się – powiedziała Rita. – Opuszczony park na obrzeżach miasta. Dziś o północy.

Patricia zawahała się. To mogła być pułapka. Ale po tym, co się dziś wydarzyło, nie miała już nic do stracenia.

Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła młodą kobietę. Rita bez wahania ją przytuliła.

– Pamiętam cię... – wyszeptała. – Myślę, że wraca mi pamięć.

Rita spojrzała na nią z ulgą.

– W końcu – powiedziała cicho. – Musisz poznać prawdę.

– Jaką prawdę? – odpowiedziała z wielkim zdziwieniem.

– Byłaś agentką FBI. Twoja misja dotyczyła firmy Fols. W rzeczywistości zajmują się oszustwami i praniem brudnych pieniędzy. Straciłam z tobą kontakt pięć lat temu, w tę samą noc, kiedy zamordowano naszą przełożoną.

Patricia poczuła dreszcze.

– To oznacza jedno – dodała cicho. – Ktoś wie, kim naprawdę jestem.

Rita była zaskoczona – czy to możliwe, że Patricia przez pięć lat żyła u boku wroga?

Obie kobiety opracowały sprytny plan.

Rita dała jej telefon.

– Będziemy się kontaktować tylko przez to urządzenie. Jest tu zapisany jeden numer – mój.

Przez miesiąc Patricia udawała, że nic się nie zmieniło, jednocześnie zbierając dowody i przekazując je Ricie. Gdy miały wystarczające materiały, Rita zebrała zaufanych ludzi.

Wspólnie wkroczyli do siedziby firmy, unieszkodliwiając wszystkich zamieszanych w oszustwa. Sprawiedliwości stało się zadość.

Echo Przeszłości

W starym miasteczku, gdzie czas zdawał się płynąć wolniej, mieszkał młody chłopak imieniem Adam. Jego życie nie było usłane różami – codzienne trudy, skromne warunki i ciężka praca na roli stanowiły tło jego istnienia. Jednak w sercu Adama tliła się niezłomna wiara w lepsze jutro, a marzenia o przygodzie i odkryciu tajemnic przeszłości napędzały go każdego dnia. Pewnego dnia, podczas zbierania drewna na obrzeżach lasu, natknął się na starą, zardzewiałą skrzynkę. Zaintrygowany, podniósł ją i z trudem otworzył, odkrywając w niej pożółkły list oraz mały, misternie wykonany medalion. List był napisany odręcznym pismem i opowiadał historię dawno zapomnianej rodziny, która posiadała niezwykły dar – potrafiła słuchać echa przeszłości. Medalion, według listu, miał być kluczem do odkrycia sekretów minionych pokoleń.

Adam, zafascynowany tajemnicą, postanowił rozwikłać zagadkę. Przez wiele dni studiował list, odwiedzając starą bibliotekę miasteczka, gdzie znalazł zapiski historyczne i legendy związane z okolicą. Z każdą kolejną stroną dawnej kroniki, historia stawała się coraz bardziej realna – opowieści o dawnych bohaterach, bitwach i utraconych skarbach ożywały w jego wyobraźni. Chłopak zaczął wierzyć, że medalion mógł być nie tylko pamiątką, ale również narzędziem otwierającym drzwi do innego świata – świata, w którym granice między teraźniejszością a przeszłością zanikały, a echo dawnych wydarzeń wybrzmiewało w sercach ludzi.

Pewnej nocy, gdy księżyc jasno oświetlał opustoszałe ulice, Adam, kierowany wewnętrznym przeczuciem, udał się na stare wzgórze, o którym mówiły lokalne legendy. Tam, w cieniu pradawnych dębów, znalazł kamienny ołtarz, na którym – zgodnie z przekazami – miały dokonać się niezwykle zjawiska. Chłopak, trzymając medalion, wypowiedział słowa zapisane na odwrocie listu, które miały być zaklęciem przywołującym echo przeszłości. Nagle noc zadrżała, a powietrze wypełnił cichy szept – jakby tysiące głosów opowiadało swoje historie. Adam usłyszał opowieści o zapomnianych bohaterach, miłości i zdradzie, o bitwach, które zmieniły losy świata.

To niezwykle doświadczenie odmieniło życie Adama. Zrozumiał, że każdy z nas niesie w sobie echo przeszłości – wspomnienia przodków, historie rodowe, które kształtują naszą tożsamość. Medalion stał się symbolem jego wewnętrznej

przemiany. Choć życie w miasteczku nadal pełne było trudów, Adam już nie postrzegał go jako ograniczenie, lecz jako część większej opowieści, której on sam był bohaterem. Zaczął dzielić się zdobytą wiedzą z innymi mieszkańcami, organizując spotkania, podczas których opowiadał o znaczeniu pamięci i historii. Jego słowa inspirowały ludzi do poszukiwania własnych korzeni, do odkrywania rodzinnych tradycji i do doceniania każdej chwili, która łączy przeszłość z teraźniejszością.

Lata mijały, a legenda o chłopaku, który słuchał echa przeszłości, rozprzestrzeniła się daleko poza granice miasteczka. Mieszkańcy z sąsiednich wiosek przybywali, by usłyszeć jego opowieści i odnaleźć w nich odrobinę nadziei. Adam stał się strażnikiem pamięci, przypominającym wszystkim, że historia nie jest jedynie zapisem wydarzeń, lecz żywym organizmem, który rośnie i zmienia się wraz z każdym pokoleniem. Jego medalion, choć z czasem tracił połysk, nadal lśnił subtelnie, symbolizując trwałość wartości i mądrość przeszłości.

Jego historia stała się opowieścią, która przypominała o sile tradycji i znaczeniu zbiorowej pamięci. Na ulicach miasteczka pojawiły się nowe murale, przedstawiające sceny z dawnych opowieści o bohaterstwie i poświęceniu. Lokalne szkoły wprowadziły do programów nauczania zajęcia z historii, podczas których uczniowie uczyli się o wartościach dziedzictwa kulturowego. Społeczność zaczęła organizować coroczne festiwale, na których mieszkańcy odtwarzali dawne obrzędy i świętowali pamięć o przodkach.

Dzięki zaangażowaniu Adama, miasteczko przemieniło się w miejsce, gdzie tradycja i nowoczesność współistniały w harmonii. Każdy, kto odwiedzał to miejsce, czuł wyjątkową atmosferę, jakby każdy kamień i każda ścieżka opowiadały własną historię. Adam, choć nigdy nie opuszczał rodzinnego domu, stał się inspiracją dla wielu, którzy zaczęli wierzyć, że prawdziwa zmiana zaczyna się od zrozumienia własnych korzeni. Jego medalion, symbol dawnej mądrości, stał się nie tylko pamiątką, ale i znakiem rozpoznawczym nowej ery, w której przeszłość i przyszłość splatały się w jedno.

Gdy zapadał zmrok, mieszkańcy zbierali się na rynku, by wspólnie wspominać dawne czasy i marzyć o lepszym jutrze. Wspomnienia o bohaterstwie, miłości i poświęceniu przekazywano z pokolenia na pokolenie, tworząc nieprzerwany łańcuch ludzkich historii. Echo przeszłości nie tylko rozbrzmiewało w pamięci, ale budowało mosty między pokoleniami, przypominając, że najważniejsze są wartości, które pozwalają nam iść naprzód, zachowując szacunek dla minionych lat.

Wiktor Sterczewski

Jak każdego dnia szłam do szkoły, słońce uderzało swoimi promieniami na przepiękne ubrania oraz cień odbijał się w rytmie uderzających butów o chodnik. Dzień zaczynałam od fizyki której nienawidziłam.

- Dzień dobry wszystkim mam nadzieje że wszyscy są przygotowani ja dzisiaj pytam pierwsza osoba to będzie Lucie jakie zjawiska potwierdzają kwantową naturę światła? - powiedziała z satysfakcją

- Yyy nie wiem.

- Dramat! Siadaj pała.

Po lekcji byłam zdesperowana tą całą sytuacją, ale nic nie mogłam zrobić, kiedy siedziałam na parapecie nagle zadzwonił telefon z obcego numeru odebrałam.

- Masz dwadzieścia cztery godziny nie ufaj nikomu, jeśli nie posłuchasz szybko pożalujesz.

Siedziałam zamurowana myśląc co się stało momentalnie zaczęłam płakać tętno drastycznie przyspieszyło a temperatura ciała gwałtownie wzrosła. Po powrocie do domu przywitał mnie mój golden retriever o imieniu Rusty. Pobiegłam do pokoju i zaczęłam myśleć o co chodzi. Zadzwoniłam do swojej przyjaciółki Lucie i o wszystkim opowiedziałam. Lucie do mnie zawitała.

- Hej o co chodzi-powiedziała Lucie.

- Chodź do pokoju i otwieramy biuro śledcze „U Besties”.

Zrobiliśmy analizę osób ze szkoły, mogła być to banda chłopców, którzy od kilku dni robili nam na złość.

- Dobra stara raz się żyje dzwoniemy do nich - zaproponowałam zestresowana.

- Możemy, ale geniuszu zastrzeż numer-prawie krzyknęła.

- Dobra dobra, dobrze że cię mam.

Telefon leżał na dywanie, w pokoju była kompletna cisza słyhać było tylko szalone bicie naszych serc.

- Nie odbierają, czyli pewnie mają kare-powiedziałam.

- No tak, a stara pamiętasz tą dziwną Madeline co spotkaliśmy w biblio jakaś odklejona była może to ta małpa zrobiła.

- Ty to masz mózg. Widziałaś jak popchała Ethana a potem hejtowała jego post.

- Tylko jak się tego dowiedzieć, to jest wręcz niemożliwe-powiedziałam straconym głosem.

- Nic nie jest nie możliwe. Mam pomysł znam taką laskę która się przyjaźni z nią jakoś ją namówię aby sprawdziła jej historię telefonów.

- Plan dobry ale myślisz że się zgodzi?

- Damy radę.

Zaczailiśmy wykonywać kolejną próbę rozmowy telefonicznej stres zjadał nasze ciała i nagle dziewczyna odebrała.

- Halo

- Hej tu lucie mam prośbę sprawdziła byś czy twoja przyjaciółka wykonywała telefon pod numer 776987432.

- Nie ma mowy nie będę komuś grzebać w telefonie a w ogóle po co ci to?

- Potrzebne, a jak dostaniesz dwadzieścia dolców?

- A to z przyjemnością odpowiedź do godziny.

- Jak ja ci dziękuję do zobaczenia.

Mamy to. Przybiliśmy piątkę i byliśmy prawie pewne że to ona teraz było trzeba wytrzymać długi czas na odpowiedź. Czas się strasznie dłużył, pobawiliśmy się z Rustym lecz zabawne gry przerwał dźwięk wiadomości.

- Odpisała-krzyknęłam.

- Niestety bez efektów napisała „nie było żadnego obcego numeru w jej kontaktach powinniście to na policję zgłosić”.

- Zawsze mogła małpa usunąć-odpowiedziałam zdesperowana.

- Mogła, ale ma rację powinniśmy to zgłosić na policję albo chociaż do twoich rodziców.

- Przestań, nie będę z taką głupotą rodzicom głowy zawracać, a tym bardziej policjantom.

- Niech ci będzie -powiedziała z irytacją w głosie.

Lucie poszła. Przestrzeń pokoju była taka cicha i taka pusta że doprowadzało mnie to do stanu depresyjnego. Próbowałam spać ale moje próby przerwał dźwięk telefonu.

- Przypominam masz dziewiętnaście godzin i dwadzieścia jeden minut powodzenia.

Serce znowu zaczęło szybko bić że myślałam że zaraz wyjdzie z mojej klatki piersiowej schowałam się pod kołdrę i zaczęłam płakać myśląc kto kto robi i czemu. W szkole nie umiałam się skupić zarobiłam dwie pały z fizyki więc załamana wróciłam do domu. Droga dłużyła się strasznie, a w dodatku zaczęło

lać, ale jak to mówią nic się nie dzieje bez przyczyny i ten deszcz o czymś świadczył.

- Cześć mamu - krzyknęłam wchodząc do domu.

- Sofia nie ma Rustiego nigdzie go nie ma-odrzekła w przedpokoju zapłakana mama.

- Jak to go nie ma! Szukaliście go? - powiedziałam z zapłakaniem głosem.

- Nigdzie nie ma byliśmy u sąsiadów, wywiesiliśmy plakaty, ale dalej się nie znalazł.

Ta informacja zamroziła mi krew w żyłach pobiegłam do pokoju trzasnęłam drzwiami i kontynuowałam szloch pod kołdrom, moje wrzaski przerwało krzyk mamy że mamy pilnie przyjść

- Dzwonił sąsiad i ma nagranie. Jakaś dziewczyna dusiła go i poszła z gdzieś z jego zwłokami-odrzekła mama.

Mama włączyła komputer, kiedy zobaczyłam nagranie nagle poczułam ścisk w żołądku oczy były wpatrzone ekran, a oddech zatrzymał się w połowie nie chciałam w to wierzyć. Potem poczułam obrzydzenie, skóra zrobiła się napięta, a serce to biło gdzieś w gardle. Następnie poczułam gniew duszący się wewnątrz krzyczący że chce wyjść.

- Jak mogłaś to zrobić, jesteś chora-krzyknęłam z furii.

Na filmie jako tajemnicza postać ukazała się moja najlepsza przyjaciółka Lucie byłam tak wściekła że myślałam że rozwalę cały pokój. Złość która była w środku wychodziła na zewnątrz wywołując nadmiar decybeli w domu. Jediną rzecz jaką chciałam to wykrzyknąć jej same złe rzeczy. Wybrałam jej numer i zadzwoniłam

- Jak mogłaś, jesteś okropna i jakaś chora to nie jest normalne - krzyknęłam do telefonu.

- Nie rozumiem o co chodzi ostrzegałam przez telefon nie zastosowałaś się to masz-powiedziała pełnym spokojem głosem.

- Mam nadzieje że ostatni raz cię słyszę do widzenia - wrzasnęłam.

SPIS TREŚCI

Kategoria wiekowa „A” dorośli – POEZJA:

I miejsce – Aneta Jasłowska	4
II Miejsce – Mirosław Gabryś.....	7
II miejsce – Barbara Kosieradzka.....	10
Wyróżnienie – Jerzy Fryckowski.....	13
Wyróżnienie – Milena Gojny-Zbierowska.....	16

Prace Zauważone:

Anna Fojtel.....	19
Emilia Marniok.....	22
Jakub Grabiak.....	25

Kategoria wiekowa „A” dorośli – PROZA:

I miejsce – Paweł Wichowski.....	28
I miejsce – Sławomir Dawidowski.....	30
II miejsce – Jarosław Rumianowski.....	33
Wyróżnienie – Magdalena Laszczka.....	36
Wyróżnienie – Karolina Krueger.....	39

Prace zauważone:

Katarzyna Gargol.....	42
Rafał Mielczarek.....	45
Jolanta Kiniorska.....	48
Aleksandra Paprota.....	51

Kategoria wiekowa „B” młodzież – POEZJA:

I miejsce – Kalina Skotnicka.....	54
II miejsce – Martyna Wybraniec.....	58
III miejsce – Grzegorz Sobkiewicz.....	61
Wyróżnienie – Maja Grab.....	64
Wyróżnienie – Antoni Szaferafin.....	67

Prace zauważone:

Kinga Kusztal.....	70
Kamila Zembroń.....	73
Noemi Borysiuk.....	74

Kategoria wiekowa „B” młodzież – PROZA:

I miejsce – Martyna Prządzik.....	77
II miejsce – Julia Kocot.....	80
III miejsce – Maja Nabałczyk	83

Wyróżnienie – Oliwia Kostrzewińska.....	85
Wyróżnienie – Emilia Ciesielska	87
Prace zauważone:	
Wiktoria Hara.....	89
Konrad Woliński.....	92
Wiktor Sterczewski.....	94